

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 84

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 22 kwietnia 1861.
4 maja

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Jan Dantyszek (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Ostatni kolig staropolski (z trzema drzeworytami). — O hajnalach krakowskich (z muzyką). — Szachy i Rebus. — Młodość, uczucie, wiek dojrzały (dokończenie). — Pasożyt, poeta. — Na placówce, wspomnienie żołnierskie przez T. T. Jeża. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

Jan Dantyszek.

Jednym z najznakomitszych dyplomatów i nieposłednich poetów łacińskich za Zygmunta I, był Jan Dantyszek, mąż europejskiej sławy, który tak w kościele, jak w polityce, jak w literaturze najdostojniej reprezentował Polskę w obec zagranicy. Był to kosztowny i świetny klejnot w koronie Zygmunta. Przyznali mu to właśni, przyznali i obcy; cieni tylko rzucony przedziałem trzech stuleci, przygasił żywe o nim wspomnienie, które pragnąłbym rozbudzić, aby terazniejszość umiała szanować i upominać się o swoje historyczne wielkości, nader często jej zaprzeczane, niekiedy z nader błahych powodów.

Urodził się on w Gdańsku r. 1485, gdzie jego ojciec był piwowarem, i familijne nazwisko nosił Flachsfinder, używane z razu i przez młodego Jana, lecz przerobione na greckie *Linodesmon*. Później, gdy cesarz Maksymilian zaszczylił go szlachectwem, zwał się *von Hofen*, a po łacinie: *de Curis*. To jednak pewna, że w ostatku od rodzinnego Gdańska, pisał się Dantyskiem, czyli Gdańszczaninem.

W dzieciństwie mało okazywał skłonności do ojcowskiego rzemiosła, za to wiele do umysłowych prac ochoty. Oddali go też rodzice najprzód do gdańskiego szkoły, a potem do akademii krakowskiej gdzie prawniczym i filozoficznym naukom poświęcał się pilnie, a poznaniu klasycznej starożytności ze szczególną miłością; czuł w sobie bowiem ducha poetycznego i pragnął go na wielkich wzorach wykształcić. Słynął wtedy w akademii krakowskiej, głośny z poezyj łacińskich Paweł Krośnianin, który mu w tym zawodzie mistrzował. Wszakże od naukowych zajęć oderwał się gorącego serca młodzieniec, gdy w roku 1502 i 1503 powołała rzeczpospolita synów swoich na obronę granic od Tatarów i od Wołoszy. Po skończonej wojnie znowu wrócił do miłych książek, lecz nie na długo. Śnać ktoś, co się poznał na jego zdolnościach, zalecił go u dworu, dokąd go powołano; wszakże młodzieńcza dusza tęskniła sobie z dworskiego pustego świata, do tej klasycznej ziemi, ozdobnej urokami poezyi i wyższej umiejętności,

jaką była Italia. Nie wiemy za czyją protekcją, lecz udało mu się porzucić dwór króla Aleksandra, o którym tak mówi w pięknym łacińskim wierszu do Alliopaga (Knobelsdorfa):

W najmłodszych latach wzięty na królewskie dwory
Od szkolnych nauk, czego żał mi do tej pory;
Bo dwór zaraza, złego bezdenna kałuża;
Na te jego nauki wstyd mój się oburza.
Rzucając go, do Lacyum dążyłem wybrzeży,
Pewny, że z twą nauką moja się sprzymierzy.
Wzdy inaczey się stało, bo ledwom Alp szczyty

się pełen pobożnej intencji, której poświęcił nawet gorącą ciekawość oglądania klasycznych Włoch. Po niemałych trudach i przygodach, dopiero z powrotem zwidził Sycylią, Neapol, Rzym, gdzie jednak niedługo bawił.

Bogatszy doświadczeniem z poznania tyłu ludzi i krajów, znalazł się znowu w drogim mu Krakowie, z zamiarem oddania się wyłącznie poezyi i naukom. Lecz kanclerz Tomicki nie dał mu żyć z książkami i w czynne życie wprowadził. Przedstawiony Zygmuntovi I, został jego sekretarzem, i wkrótce na taką ufnosć zasłużył, że mu najtrudniejsze misye polecał, a głównie w sprawach miast pruskich, jak: Gdańsk, Elbląg, Toruń, często wyrwywających się z pod władzy królewskiej. Czynności tej poświęcał się między 1508 a 1513 rokiem. Na obszernej polu działań dyplomatycznych znalazł się Dantyszek w czasie wiedeńskiego zjazdu Zygmunta, cesarza Maksymiliana i Władysława króla węgierskiego, gdzie zabrał znajomość nie tylko z uczonymi ale i z najznakomitszymi statystami owego czasu, jak: Herberstein, Bartolinus, Velius, co go tak spoufalilo ze światem dyplomacyi, że Zygmunt odjeżdżając do Polski, zrobił go swoim pełnomocnikiem przy cesarzu Maksymilianie, i jeszcze bogatemi prebendami opatrzył. Po trzech latach pobytu przy cesarzu, któremu w wielu trudnych rokovaniach był wielce pomocnym, wrócił do Krakowa, gdzie niedługo odpoczywał; król wyprawił go bowiem w poselstwo do Karola V, przebywającego w Walladolidzie, aby do skutku przyprowadził zapis księstwa Bari na rzecz Izabelli, matki Bony Sforey, niedawno oddanej mu w zamęcie. Zaledwie interes ten szczęśliwie przewiodł, czekało go nowe poselstwo. Grożąca Węgrom potęga turecka, nakazywała monarchom europejskim wiązać się w przymierze, do czego Zygmunt I był największą pobudką, raz jako bliski sąsiad sultana, podługie jako stryj króla węgierskiego Ludwika. Jakoż w przewidywaniu grożących od strony tureckiej niebezpieczeństw, polecił był Dantyszkowi wyjednać u Karola V pomoc dla Węgrów.

Odtąd życie poety potoczyło się całkiem po labiryntach dyplomacyi; w różnych misjach widzimy go czynnym przez lat dwanaście. To u Klemensa VII woła o posiłki na Turka; to sprawy weneckie przy Karolu V załatwia; to rewindykuje księstwo Bari na rzecz Bony; to usuwa zatargi z Albrechtem brandenburgskim, co z zakonnika stał się księciem świeckim i protestantem; to przy Karolu V, zakochanym w nim wielce, z równą gorliwością co i dla pana swojego pracuje. Interes katolicyzmu był tak narodo-



JAN DANTYSZEK. (Ry. Polkowski, ze sztychu biblioteki senatu gdańskiego.)

Pozostawił za sobą wód morskich błękity
Błysły mi....

Znalazł się w Wenecyi, i tam ujrzawszy w porcie okręt mający płynąć do Jaffy, uczuł w sobie natchnienie odprawienia pielgrzymki do Ziemi św. I puścił

zaczęł się; to usuwa zatargi z Albrechtem brandenburgskim, co z zakonnika stał się księciem świeckim i protestantem; to przy Karolu V, zakochanym w nim wielce, z równą gorliwością co i dla pana swojego pracuje. Interes katolicyzmu był tak narodo-

wym, że służąc cesarzowi, nie przynosił przez to uszczerbku Rzeczypospolitej. Jak dalece umiał go cesarz Karol poważać, dowodzi nadanie mu hiszpańskiego szlachectwa i medal na jego cześć bity, z napisem: 4. et. 40. Dantiscus. in. annis. talis. in. Hispania. posteriore. fuit.

Mozolny ten żywot, spędzony na podróżach poselskich, tak kreśli w kilku wierszach do Alliopaga:

Trzykroć w obie Hesperye nosilem rozkazy,
W troistej Gallii byłem toż samo trzy razy;
Widziałem kraj Brytanów odciepty przesmykiem
Wodnym od ładu; ziemie bite Atlantyką;
Morinów (*) lud najdalszy; Batawy, i owych
Co siedzą u wód reńskich i u dunajowych.
Za młodu w czas wojenny na Gety i Daki
I nad Borysten szedłem z rycerskimi znakami,
Przez góry i doliny, rzeki, morskie waly,
Bez spoczynku mną losy od młodych lat gnały.

Doliczywszy do tego podróż jerozolimską i włoską wyżej wspomnianą, wyobrazimy sobie, jak ten sposób życia musiał być nieraz przykry dla poety, tęskniącego do ukończonych klasyków i do ciszy muzeum przyjaznej. Mimo takich jednak przeszkód, od czasu do czasu wychodziły z pod jego pióra okolicznościami wywołane rymy. Za młodu śpiewał weselne gody Zygmunta z Barbarą Zapolą, wyprawę nad Dniepr i do Węgier, kongres wiedeński, ożenienie się Zygmunta z Boną, a w późniejszych latach: O nędzach naszych czasów (**), w którym to poemacie zapala panów chrześcijańskich do pomszczenia śmierci nieszczęśliwego Ludwika węgierskiego, poległego pod Mohaczem. Zapatrywanie się wzniosłe, wyższe nad samolubne względy polityki, znajomość spraw ówczesnych, szczerne, porywające myśli, oddane po prostu i z godnością, przystępne gorące pragnienie dobra i szczęścia ludów, oto czem tchnie ta poezja, przyjęta z ogromnym przez społeczeństwo zapalem, jak świadczą liczne jej wydania w Bononii, Krakowie, Kolonii. W rok potem napisał poemat: *Jonas propheta*, z aluzją do Gdańszczan; w roku 1539 wyszedł jego piękny wiersz do Alliopaga, w którym opisuje swój cały żywot, — a po śmierci jego Hozyusz wydał najważniejsze dzieło, to jest Hymny kościelne, naśladowane z Prudenecjusza.

Przy tylu sprawach ciążyących na głowie Dantyszka, spora to wiązanka literackich piodów, stworzona w chwilach wykradzionych nader rozgalezionej korespondencji, prowadzonej z najrozmaitszymi osobami, w najrozmaitszych przedmiotach. Wszędzie gdzie tylko zaglądał go poselstwo, umiał on zyskiwać sobie przyjaciół, mianowicie między uczonymi. Głowa pełna światła, przy dworskiej oglądzie i łatwości w pożyciu, a zawsze dobry humor, sprawiały, że ubiegano się o jego przyjaźń, o jego towarzystwo. Podobnie jak na dworze cesarza Maksymiliana, tak później na świetniejszym jeszcze dworze Karola V, w blizkie zaszedł stosunki z najprędniejszymi umysłami, takim Granvellą, Jakubem Spieglem, Dupliciuszem Scheppe-rem, Erazmem Roterdańczykiem, Valdesem, Janem Sekundem, sławnym poetą, a niemniej i z głośnym Ferdynandem Kortezem, z którym zrobił znajomość w Madrycie i później z nim korespondował, o czem z równą dumą w swoich rymach wspomina:

Mam listy od przyjaciół, Korteż mi pisuje,
Co zamorskich państw tyle zdobył, i panuje
Od znaku koziorożca, za linią równika,
I w tej oddali duszę swoją mi odmyka....

Uczeni i poeci szczególniejszemu otaczali go poważaniem, jużto poddając jego sądowi pisma swoje, zanim je oddawali do druku, już dedykując mu takowe. Również świadectwa społecznych najprzychylniej wyrażają się o nim. Gassendi w życiu Kopernika, tak charakteryzuje naukę Dantyszka: „Miał on rzadką znajomość świeckiego i kanonicznego prawa, głęboki sposób widzenia w filozofii i historii, nabyty przez wielkie czytanie, a następnie tak niepospolitą wymowę, że papież, dwór rzymski i najwięksi krasomówcy, nie mogli mu podziwienia odmówić.“ Niemniej pochlebnym jest zdanie Erazma Roterdańczyka, a najważniejszym kardynała Hozyusza, który często w listach swoich wspomina, że od młodości wielce ceniał Dantyszka, kwoli jego uczoności i poetycznego talentu, i że go często w pracach literackich do rady wzywał.

Mąż ten jednak nie był bez słabości; czysty i pobożny w latach młodych, w obcowaniu z humanistami wiele stracił z surowej reguły chrześcijańskiego życia, wpłatawszy się w miłostki hiszpańskie z Izabellą del Garda, które go wielu nabawiły niesmaków, zwłaszcza gdy wstąpił później w stan duchowny. Wiersz

miłosny do Grinei, jedyny z erotyków przechowanych w zbiorze jego rymów, maluje jak gdziekolwiek się obróci serce, jego prędko się zapalało, i jeszcze prędzej zmuszone było powabny przedmiot opuścić:

Ta cię na greckim brzegu, ta w Lacyum ułowi,
Tamtej włos ciemny, a tej złości się płowi;
Owa feza nieniecka w złotogłowie wstęgi
Włos zdobiąc, zda się godną Jowisza potęgi;
Inna, gdzie lśni lodami arktus lodowaty,
Gasi ćmiącą białością nawet róż szkarłaty,
I czy lądem, czy morzem zawiniesz gdzie w gości,
Zmienny Amor do nowój pokusza miłości,
A ledwo w sercu pozór zdradliwy rozpali,
Już pędzi zakochanych gdzieś dalej i dalej!

Darmol! pierwszy obowiązek służby, jak sprawa sercowa.

Mego króla rozkazy, toż cesarskie boje,
I ten odjazd zmuszony, przeklinam oboje.

Zgola, sens moralny tej elegii zawiera się w tych dwóch wierszach:

Szczęśliwi, którym miłość bezpieczna wciąż sprzyja,
Bo niepewność w miłości, ta tylko zabija.

W wiele lat później, gdy tę elegię posyłał sławnemu podróżnikowi, baronowi Herbersteinowi, dopisał wierszyk tej myśli, że nietylko sam rym, ale nawet i przedmiot rymu, owę Grineję, gotówby mu darować.

Jużem też postanowił, zgodnie z moim stanem
I wiekiem, być pobożnym i czystym kapłanem...

I takim też był, gdy król Zygmunt, w nagrodę jego wielkich usług, własnoręcznym listem z 5 maja 1530 r. odwołał go z urzędu poselskiego i ofiarował mu biskupstwo chełmińskie. Dopiero w r. 1533 do- stojny biskup Tomicki wyświęcił go na kapłana i biskupa; odtąd też, pokutując za lekkość światowe, o- dał się z całą gorliwością nowemu powołaniu, nader wówczas trudnemu, bo nietylko trzeba się było opę- dzać nauce Lutra, robiąc nagłe postępy, ale i zała- twiać sprawy polityczne na sejmikach ziem pruskich, którym Dantyszek, jako biskup, z powodu słabości bi- skupa warmińskiego, przewodniczyć był zmuszony.

W ciągu tych prac spotkały go nieprzyjemne zatargi z podskarbin koronnym Stanisławem Kostką, a to z powodu nałożonego podatku, którego pruskie stany przyjąć nie chciały. Sprawa ta doszła do króla, przed- stawiona w świetle niekorzystnym dla Dantyszka; je- dnakże prawda wyszła na wierzch, i Dantyszek na swojej wziętości i zaufaniu u dworu nie stracił. Gdy Zygmunt zdał rządy na syna, nie zmienił się w ni- czym dawny stosunek Dantyszka. Po śmierci Marcina Ferbera, wstąpił on na opróżnione biskupstwo war- mińskie; miał sobie ofiarowany kardynalski kapelus z za pośrednictwem Karola V, a później Bony, lecz go- dności tej przyjąć nie chciał, przywiązany będąc do swego króla i biskupstwa. Niesłusznie zatem pomawia go Wiszniewski (w 6 tomie Hist. Lit. Pols.), że był nienasyconym godności, jak również ubliża jego cha- rakterowi, biorąc pochop z listu odnoszącego się do miłosnych związków z Izabellą del Garda, jakoby córki swojej znać ani wspierać nie chciał. Takich drobnych okoliczności prywatnych, podsłuchanych z je- dnej strony, nie można kłaść na równą szalę z usłu- gami oddanymi w zawodzie publicznym, lub w nau- ce. Co więcej, żywot Dantyszka jest tam traktowany za powierzchownie; bierze mu za złe że ma stosunki z Erazmem, Melanchtonem i innymi różnowiedcami, a tym samym podejrzewa i jego katolicyzm, chociaż wpa- trzywszy się bliżej w szczegóły jego życia, stosunek ten, jak pokazuje się z listów, nigdy nie przechodził granic kwestyj literackich i humanitarnych. Taki nawet zapalenie jak Melanchton, pisząc don, zręcznie omija kwestyą reformy. Wreszcie, jeżeli w poselskim za- wodzie, w zetknięciu się z ludźmi różnych pojęć i obyczajów, umysł Dantyszka tracił czasem rozwagę, nie idzie za tem żeby zostawczy sługą kościoła, czem- kolwiek stał się przyczyną zgorszenia. Sam rodzaj poe- tycznych utworów jakie wyszły wtenczas z pod jego pióra, wymownie świadczy że światowe względy mi- nęły dlań, a zostało samo staranie się o szczęśliwość wieczną, w doskonałości się duchowem i w uczynkach zasadzających się na walce z błędną nauką. Hozyusz, ten filar kościoła, młot na kacerze, nie byłby z czło- wiekiem podejrzanej wiary zaszedł w ścisłe sto- sunki, ani też napisałby o nim w przedmowie do *Hymnów*, że „za młodu mógł błądzić, porwany dwor- skiem życiem, które wszystkiego uczy, krom cnoty, ale gdy przez miłosierdzie, boże stał się pasterzem, zrzucił z siebie starego człowieka i równie jak nie- gdyś kochał światek, teraz miłuje Chrystusa, i mimo podeszłego wieku i upadłego zdrowia, trwa na mo- dlitwie i na rozpamiętywaniu dobrodziejstw Chrystu-

sa Pana.“ Nietylko wszakże Dantyszek był przykła- dnym księdzem, ale umiał być w danych razach i energicznym biskupem, zwłaszcza gdy szło o usunie- cie z publicznych szkół nauczycieli przejętych nauką protestantyzmu. Wreszcie sami członkowie kapituły warmińskiej, jak Hozyusz i Kopernik, obydwaj jego przyjaciele, obydwaj ludzie najznakomitsi, wymownie świadczą jak umiał się otaczać.

W ostatnich latach, oddając się więcej nabożeństwu, napisał księgę hymnów w liczbie trzydziestu pieśni. Są one treści ściśle kościelnej, pełne prostoty i cał- kiem wolne od owych przenośni i porównań branych z klasyków rzymskich, będących wówczas w modzie u wszystkich. Wydał je Hozyusz w r. 1548, zapewne w pierw nieco, nim zgon Dantyszka nastąpił; po nie- długiej bowiem chorobie, zgaś on d. 27 października 1548 r., pochowany w katedrze frauenburgskiej.

Lucyan Siemiński.

Kronika tygodniowa.

Doktor Maurycy Wolf, który w zeszłym tygodniu przeniósł się do wieczności, był, jak wiadomo, jednym z najbardziej wziętych lekarzy w Warszawie. Obda- rzony wielką bystrością umysłu i znakomitemi zdol- nościami, posiadał on przystęp to, co na każdej drodze i w każdym położeniu staje się zasadą powodzenia, posiadał szczęście.

I nie dziwiecie się, czytelnicy, mojemu wyrażeniu, ani nie chciejcie sądzić żeby w czemkolwiek uwłaczało ono pamięci zmarłego, który w kole działań swoich niemałe zasługi położył: szczęście w medycynie potrze- bne jest jak gdzieindziej. Starsi mieszkańcy Warsza- wy pamiętają jeszcze jednego z bardzo uczonych do- ktorów, który, słusznie czy niesłusznie, uchodził za bardzo nieszczęśliwego w leczeniu. Był on współczes- nym Czekierskiemu i jego współzawodnikiem nieja- ko, a jak wiadomo, Czekierski w swoim czasie posia- dał całe zaufanie mieszkańców Warszawy, którzy go nazywali *cudownym* doktorem i czcili go jakby pół- boga, jakby Eskulapa jakiego.

Owóż doktor o którym mówimy, niezaprzeczenie uczęszczał od Czekierskiego, staranniejszym dale- ko, więcej wykształconym w swojej sztuce, i wszy-scy ludzie nauki, zagraniczni zwłaszcza lekarze, przy- znawali mu tę wyższość. Ale cóż z tego, kiedy miał on, jak powiadano, *nieszczęśliwą rękę*. Pacjenci jego, leczeni podług wszelkich reguł sztuki, często bardzo umierali, podczas kiedy pacjenci Czekierskiego, któ- rych zwykł on być lekko na pozór traktować, cudo-wnym jakimś sposobem przychodzili do zdrowia. Zda- wało się że sam wzrok tego szczęśliwego doktora, że zaufanie jakie obudza, że wiara jaką potrafi ożywić, stawały się już najskuteczniejszymi lekarstwami. Umie- rający, kiedy posłyszal o Czekierskim że ma przyje- chać do niego, zaczynał wiązać się na nowo do ży- cia i nabierać sił nowych.

Inaczej było ze współzawodnikiem tego prawdziwe- go syna szczęścia. Lękano się brać go za zwyczajnego do- mowego lekarza, a uznając jego naukę i głęboką wie- dzę, przyzywano go tylko do consilium, jeżeli wypa- dała tego potrzeba. I w tych jednak wypadkach, je- żeli nieszczęśliwy był skutek, nieszczęście to jemu i wy- łącznie tylko jemu przypisywano. Był on w ciągłym antagonizmie z Czekierskim i nie oszczędzał mu kry- tyk, często nawet bardzo uzasadnionych; wyglądało to jednak trochę na te zarzuty czynione przez gene- rałów austriackich Napoleonowi I, że odnosi nad nie- mi zwycięstwa, wcale nie podług reguł wojennych.

Owóż doktor Maurycy Wolf posiadał do wysokie- go stopnia ten przymiot Czekierskiego: umiał on wzbu- dzać w swoich pacjentach nieograniczone zaufanie w siebie. Drzwi jego ciągle były oblegane, niepodob- ienstwem prawie było dostać się do niego. Znany był powszechnie jego sługa, który posiadał wyłączny przywilej wpuszczania do pana, i wielu starało się o łaski tego sługę, żeby w potrzebie za jego pomo- cą otrzymać posłuchanie.

Ale doktor Wolf posiadał, jak powiedzieliśmy, rze- czywiste przymioty, które to szczęście jego usprawie- dliwiały. Nie do nas należy wdawać się w rozprawy naukowe, określając przebieg jego zawodu i wyobra- żeń o sztuce lekarskiej, które często, zwłaszcza pod koniec życia, ważnym bardzo ulegały przemianom.

(*) Mają to być Holendrzy, jak Batawowie Belgi.

(**) De nostrorum temporum calamitatibus. Bon. 1529.

Można powiedzieć że medycyna, również jak niegdyś literatura, dzieli się na klasyków i romantyków, z których pierwsi ślepo i wytrwale trzymają się utartych już zasad, drudzy zaś ciągle nowych dla siebie i dla sztuki szukają dróg. Owóż doktor Wolf był stronnikiem nowej szkoły, i jak to zwykle bywa, narazonym był nieraz na antagonizm ze strony dawnych towarzyszyw broni. Nigdy jednak na żadnej drodze nie opuszczała go ta pewność i wiara w siebie, która gdzieindziej szkodliwa, dla lekarza jest często szacownym bardzo skarbem. Moglibyśmy przytoczyć nie mało zadziwiających jego kuracji, w których uratował osoby opuszczone już przez innych lekarzy.

Był on przytęm dobroczynnym, w najlepszym i najpiękniejszym znaczeniu tego wyrazu, dobroczynnym nie tylko groszem swoim, ale osobą i pracą własną. Dla szczęśliwców tego świata, tych zwłaszcza, którzy z nudów wymyślają sobie różne urojone choroby, zszorstki nieraz w obęsciu, biędnym rad zawsze udzielał pomocy, często bardzo sam z własnej kieszeni zakupując lekarstwa i stosowny udzielając zasiłek. Biędni też, zwłaszcza starozakonni, nieograniczone pokładali w nim zaufanie, uważali go jako opiekuna, dobroczyńcę swojego. Dowodzi tego prawdziwa żalść jaką śmierć Wolfa spowodowała w ubogiej klasie tutejszych mieszkańców i tłumne ubieganie się w oddaniu czci należnego pamięci. Doktor Wolf należał do tych postaci wszystkim w ogóle w Warszawie znanych, w które społeczeństwo nasze, coraz bardziej zacierające rysy szczegółowe indywidualności, coraz mniej obfituje. Słynął przytęm jako człowiek towarzyski, przyjemny, dowcipny, i z tego względu także był wielce tu poszukiwanym.

Nie od rzeczy będzie, przy licznych wypadkach śmierci, jakie się w tych czasach zdarzają, pomówić trochę o pogrzebach. Już raz dotykaliśmy tego przedmiotu, i chociażbyśmy znowu narazić się mieli na jakie gwałtowne reklamacje, wypowiemy prawdę, do której z naszego stanowiska i z szacunku jaki przywiązujemy do każdego odezwaną się publicznego, czujemy się obowiązani.

Jeden z naocznych świadków opowiadał nam o wypadku, który miał miejsce kilkanaście dni temu.

„Poszedłem, mówił on mi, odwiedzić umierającą moją kuzynkę, która żądała przed śmiercią pożegnać się ze mną. Idąc na górę, spotkałem na schodach kilku ludzi zapierających drogę i żywo, nawet głośno bardzo, sprzeczekających się pomiędzy sobą. Zrobiłem im uwagę, żeby poszli gdzieindziej załatwiać swoje interesy, w tym domu bowiem znajduje się osoba śmiertelnie chora i nie jest przyzwyczajoną odbywać krzykliwe targi i kłótnie w bliskości jej mieszkania. Widocznie jednak wyrazy moje nie odniosły żadnego skutku, bo zamykając drzwi od przedpokoju, usłyszałem że burza wyrazów groźniejszych jeszcze przybrała rozmiary.

„Kuzynka moja była już konającą. W pół godziny po mojem przybyciu, nastąpiła śmierć. Jakież było jednak moje zdziwienie, kiedy w tej samej prawie chwili usłyszałem z trzaskiem otwierające się drzwi od przedpokoju, i ujrzałem tychże samych ludzi, którzy spotkałem już na schodach, wpadających gwałtownie do mieszkania zmarłej, z krzykiem i hukem do nieopisania.

„Byli to przedsiębiorcy trumien, kłócący się pomiędzy sobą, którzy z nich będzie robił ostatnie pomieszczenie dla zmarłej.

— Ja wiem czego państwu potrzeba, zawołał jeden wysuwając się naprzód, zrobię państwu śliczną trumienkę, aż rokosz będzie patrzeć, a ozdoba jak cacko, a wygodna jak najcudowniejszy szesław. I to wszystko za pięćset złp. Powierzcie państwo mnie tylko robotę, a zobaczycie że będziecie zadowoleni.

— Eh, co tam państwo wierzyć temu fuszerowi, wołał drugi, albo to on umie zrobić co porządnego? Już to wiadomo, że prawdziwie na urząd robionych trumien dla ludzi wielkiego znaczenia w świecie, tylko u mnie dostać można. A wezmę nawet o 50 złp. mniej niż on, chociaż robota u mnie daleko lepsza i porządniejsza.

— Ja mam najsuchsze drzewo, krzyżał trzeci, przez sześć miesięcy schnie u mnie umyślnie, ani się dotknę przed sześciu miesiącami. A szpary zatykam kitem mojego wynalazku, i franzle do aksamitu prosto z za granicy sprostowane; takich nigdzie tu nie dostanie.

— A u mnie trumny z takim pokostem, wrzeszczał czwarty, że za tysiąc lat będą jak prosto ze sklepu. Przekonacie się państwo sami, jeżeli pożyjecie. Tylko odpędźcie państwo tych trutniów i mnie dajcie robotę, a nie pożałujecie tego.

„I dalej sprzeczek się, kłócić, a nawet popychać, myślałem że przyjdzie do bójki.

„Na szczęście znalazł się ktoś, co wszystkich tych nieproszonych gości wyrzucił za drzwi, oprócz jedne-

go, któremu powierzono robotę trumny, za dość wygórowaną cenę.

„I cóż powiesz na to: nazajutrz przyszedł lichwiarz, który na pieniądzech mających się za ową trumnę zapłacić, położył areszt, z powodu należności przypadającej mu od dostarczyciela.

„Wszystko to co ci powiedziałem, jest najrzeczywistszą prawdę i na żądanie gotów jestem wymienić miejsce i osoby.“

Takie było opowiadanie mego znajomego, i wierzę temu najzupełniej, sam bowiem kilka razy miałem sposobność przekonać się o nieprzyzwoitości znalezienia się różnych przemysłowców w podobnych wypadkach.

Pogrzeby u nas kosztują bardzo drogo, a mianowicie dlatego, że każdy z przyborów należących do nich trzeba w różnych miejscach stałować. Często się zdarza, że znaczną część funduszu pozostałego po zmarłym, zaoszczędzonego ciężką pracą i skąpieniem sobie potrzeb, żeby zapewnić coś dla spadkobierców, zjada ceremonia pogrzebowa. Ztąd też wielu bardzo umiających najwyraźniej w testamentach uprasza o skromne pogrzebanie; ale trudno żeby się stało podług ich woli, bo jak powiedzieliśmy, samo stałowanie już tego lub owego w rozmaitych miejscach wymaga wielu wydatków.

Inaczej rzeczy się mają n. p. w Paryżu; tam wszystko urządzi tak zwana *administration des pompes funebres*. Ona już dostawia karawan, trumnę, zamawia kapłanów i trudni się wszystkiem w ogóle. A pogrzeby dzielą się tam na trzy klasy, na każdą zaś z nich oznaczoną jest stała i niezmienna taksa. Według więc stanu funduszy, zamawia się jedną lub drugą klasę pogrzebu, i wszystko jest już zastosowane do tego, kłopotów ani targów żadnych niema. Zdaje się że i u nas z łatwością dałoby się to samo urządzić.

Ale od umarłych, przejdźmy do żyjących.

Syrokomla bawił przez kilka dni w Warszawie. Zdrowie jego od pewnego czasu w bardzo niekorzystnym znajduje się stanie, pomimo tego jednak nie zaprzestaje on prac swoich. Niedawno wyszedł w Wilnie szósty poczet jego *Gawęd i rymów*. Utwory tam pomieszczone odznaczają się dziwnie smętnem usposobieniem. Poeta zali się na czas i na ludzi, a po dawnemu szuka pociechy w pieśniach. Nam się zdaje że zazwyczaj nie tyle się zmieniają ludzie i okoliczności nas otaczające, ile wewnętrzne usposobienie nasze.

Donoszą nam o świeżo zawartem małżeństwie Teofila Lenartowicza z panną Zofią Szymanowską, siostrą żony Ad. Mickiewicza, znaną u nas z pięknego talentu malarskiego.

Kilka obrazów panny Szymanowskiej zyskało uznanie za granicą, bo niektóre jej prace pomieszczone były na wystawie paryżkiej. U nas znany jest, pomiędzy innemi, portret najwierniejszy, o ile się zdaje, z istniejących, z którego kopia litograficzna dokonana została w swoim czasie w zakładzie niegdyś Pecqa et comp., dziś Dzwonkowskiego.

F. A. Brockhaus w Lipsku wydaje bibliografią polską. Potrzeba takiej publikacji oddawna czuć się dawała. Już w Warszawie dwóch czy trzech księgarzy próbowało wydawać katalogi rozumowane, ale miały się one ze swoim przeznaczeniem, zamieszczając bezwarunkowo tylko pochwały, zamiast mniej więcej bezstronnego zdania. U nas zupełnie prawie brak spisów bibliograficznych, trzeba je więc dopełniać oderwanymi wiadomościami, po różnych publikacjach zamieszczanymi. W dzisiejszych wprawdzie czasach bibliograf, pragnący wydawać spis dzieł wychodzących obecnie, niewiele będzie miał do czynienia; ależ stan taki nie może długo trwać. U Brockhauza wychodzą także dzieła Stefana Garczyńskiego, których dawne wydanie w dwóch tomikach zupełnie już wyczerpane zostało, i wszystkie drukowane dotąd utwory Juliuszałowackiego w wydaniu kompletnem. Bardzo to pożądana publikacja.

W świeżo wyszłym sprawozdaniu z czynności warszawskiej medyko-chirurgicznej akademii, znajdujemy piękną bardzo rozprawę doktora Wisłockiego „O kąpielach pod względem higienicznym“, odczytaną przy otwarciu akademii, oraz rzecz s. p. Lesińskiego o dzisiejszym kierunku ogólnej teorii chemii, mianowicie organicznej. Sprawozdanie o którym mowa, dowodzi wielkiej czynności jaka rozwinięta została, ażeby postawić tę tak użyteczną dla kraju instytucję na stopie odpowiedniej wysokości jej zakresowi. Z pomiędzy studentów nauk farmaceutycznych, takich którzy ukończyli dwuletni kurs i otrzymali na to świadectwa, zaraz po złożeniu przepisanego egzaminu, było 52. Z grona studentów nauk lekarskich zdało pierwszą połowę ostatecznego egzaminu na stopień lekarza 81. Ogólna liczba wszystkich studentów wynosiła w r. 1859/60 269.

OSTATNI KULIG STAROPOLSKI.

Czytałem niedawno, już nie wiem raz który, *Maryę Malczeskiego*. Gdy doszedł do miejsca owej pieśni *kuligu*:

My sobie jedziem kuligiem
I w noc i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie..
Lecim saniami
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty.
Czy znasz ty polskie zapusty?

rozbudzone wspomnienie tęp zapytaniem poety, stało przed oczyma ostatni może prawdziwie staropolski kulig, w którym uczestniczyłem przed czterdziestą blisko laty.

Było to w roku 1820: od połowy grudnia spadły ogromne śniegi, tak iż wioski pozasypanywały i prze-rwały na dni kilka wszelki przejazd, nie tylko po drogach bocznych, ale i na bitych gościńcach.

Od chaty do chaty, od dworu do zabudowań dworskich, w pośród mass śnieżnych trzeba było rozkopywać przejście. W tydzień później wiatr ciepły powiał, prawie w jednym dniu zasy śnieżne roztały i znikły bez śladu, bez roztopów, wychyliły się dachy wioskowe i dworskie, a gdy wkrótce mrozy schwytały i znow lekki śnieg posypał, ustaliła się tak wyborowa sanna, jakiej dawno nie było, i zima śnieżna trwała niemal do połowy marca.

Dwór pana starosty leżał wśród leśnej okolicy, o mil dwie od brańszczykowskiej puszczy. Był to dom staroświecki, murowany, z wieżyczką, zabytkiem starego zamczyska; ztąd w sąsiedztwie zwano go *zamkiem*.

Pan starosta, był to sędziwy już starzec. Pamiętał dobrze czasy Augusta III, w młodym wieku służył pod chorągwią przesławnej konfederacji barskiej i do-trwał wiernie do końca, dopóki Kazimierz Pułaski, od murów Częstochowy, nie opuścił rodzinnej ziemi na zawsze. Po poddaniu świętego grodu, pan starosta, przywrócony do godności dawniej piastowanych, odznaczył się w usługach obywatelskich; bo też na żadną potrzebę krajową nie żałował tak krwi swojej, jak i mienia dostatniego.

Trzech dorosłych synów służyło dawniej w wojsku: najstarszy z legionów, przyniósł krzyże legii honorowej i polski *virtuti militari* ze szlifami pułkownikowskiemi, ale zarazem i pięć ran ciężkich, które odebrały mu zdrowie. Dwóch młodszych poległo w Hiszpanii: jeden zginął jako szwoleżer przy zdobyciu wawozów Sammo-Sierry, drugi w szturmie do Saragossy. Dwóch najmłodszych, już żonatych, trzymało dzierżawę od ojca.

Pani starościna, poważna matrona, liczyła lat 60, ale jeszcze czerstwa i pełna zdrowia, wyrozumiała dla młodego wieku, chętnie urządziła zabawy w domu swoim, lub należała do projektów, jakby wesoło u sąsiadów zapusty przepędzić.

To też tej zimy, zaraz po Nowym roku, w gronie swęj rodziny, podniecana przez dwie młode synowe, wesołe i lubiące tańczyć, ułożyła *kulig* do państwa skarbników, którzy za puszcza brańszczykowską we wsi Wierzbowie mieszkali.

Starosta, nie mogąc się oprzeć przymilaniu i proś-bom synowych, przystał na wszystko. Pułkownik, dla strzaskanęj ręki od granatu, nie mógł brać udziału w zabawie, lubo do niej ochoczo zachęcał.

Po długiej przeto naradzie, postanowiono zebrać grono sąsiedniej młodzieży i przyjaciół, i w licznej czeredzie napaść niespodzianie dwór państwa skarbnikostwa. Z początku przeznaczono na to dzień Trzech królów, ale ponieważ potrzeba było do wesela krakowskiego ubiorów stosownych, odłożono przeto zamiar na koniec stycznia. Tymczasem sprowadzono z pobliskich miasteczek Żydów krawców do szycia sukien, i tak się zawinięto, że wszystko było gotowem na 20 stycznia.

Ale trzeba było poprzednio odbyć próbę: pani starościna zaprosiła przeto wszystkich do kuligu należących na dni kilka do siebie. Wystąpił najprzód poważny organista, jeden z synów starosty, ze swą żoną jako organistką, i ognistą wypalił perorę.

Mowa ta, pełna humoru i dowcipu, serdecznie roz-weseliła sędziwego ojca i poważnego pułkownika. Tańce udały się wybornie. Na drugi dzień chciano zrobić niespodziankę dla pani starościny. Kiedy się więc zmierzchno dobrze, usłyszano we dworze odgłos piskliwych fujarek z bębniemi. Gdy oboje starostwo spojrzeli na siebie zdumieni, wbiegła synowa młod-sza, a klaszcząc w ręce radośnie, prosiła ich, żeby

pozwolili wniknąć Cyganom. I zaraz za nią zaczęła się tłoczyć cała banda, a ze środka jej wysunął się ogromny niedźwiedź bury, białoszynnik, i począł niezgrabny swój taniec, przy brzmieniu fujarek i dwóch bębneków.

Starosta pierwszy poznał w przebranych Cyganach swoich znajomych, ale przed żoną utulił swoje odkrycie. Dopiero gdy chórem cała banda, dobranymi głosami, zanuciła pieśń na cześć gospodarstwa, zerwała się z kanapy i zaczęła całować i ścisnąć urodne Cyganki.

— A bogdajże was Pan Bóg chował zdrowo i szczęśliwie, mówiła wesoło poważna matrona, a toż to ja nie poznałam swoich.

— A ja poznałem, ale mojej dziewczeczce nie mówiłem nic i siedziałem jak trusia, wyrzekł starosta, śmiejąc się serdecznie.

W tę chwilę niedźwiedź wysunął się naprzód, oddał niezgrabny pokłon, pochwycił rękę starościny i pocałował.

— A toż kto? zapytała przestraszona nieco gospodyni domu.

— Cóż to, mateczka nie poznała? odezwała się starsza synowa; toć to przecie pan Jacenty.

— Ktoby go tam poznał w tej niedźwiedziej skórze? odrzekła starościna, taki straszny... a wybornie udawał niedźwiedzia.

wniej, w innych a już odległych czasach, nosili prawnie.

Od świtu przed dworem służba dworska i czeladź uwijała się żwawo. Tymczasem pan starosta, po długiej naradzie z nadleśnym Jacentym, wyszedł w podróżnym ubraniu. Mróz był lekki, powietrze miłe, chociaż chłodne. Słońce czasem wyjrzało bladym obliczem z pośród chmur spokojnie wiszących, niepędzonych wiatrem.

Godzina naznaczona uderzyła, zajęły pierwsze saneczki jednokonne, a ciągnął je najlepszy biegun ze stajni starosty, sławny jednochodnik. Wybiegł arlekin w masce czarnej, z drewnianą czapczką w ręku, uderzył nią każdego ze stojących na ganku, zarzucił niedźwiedzie, i zniknął nam z oczu. On to miał być zwiastunem najazdu kuligowego we dworze skarbnika.

Starosta przeciągał coraz wyjazd, jakby oczekiwał na kogo. Jakoż wkrótce nadjechał pan Jacenty, na czele czterestu zbrojnych myśliwych; za nimi nadciągnęły sanie ładowne w kagańce i pochodnie.

Kiedy wszyscy zebrani stanęli na ganku, wtedy wyszedł sędziwy proboszcz miejscowy, w komżę przybrany, odmówił głośno modlitwę, przeżegnał obecnych na szczęśliwą drogę i pokropił święconą wodą.

Niedługo wszystkie sanki ruszyły z podwórza, zostali tylko razem proboszcz i pułkownik.

— Dlaczego tak wcześniej zapalono pochodnie? zapytała męża pani Adamowa, starsza synowa starostów.

— Gdzie tam widno, nim zajedziemy, to mrok dobry będzie, odrzekł jej z uśmiechem; ale miał na pogotowiu dubeltówkę skałkową i parę pistoletów za pas założył, położywszy na nogach szturmak nabity.

Co ty Adasiu tak się zbroisz? może tu są zbrojcy, zawołała z przestrachem żona.

— Moja Teofilko, zkad tu zbrojcy? A wieleżby ich potrzeba, żeby nam podotali! Sęk (*), co tu rozbijał, oddawna zniknął. My robimy przygotowania, bo karczmarz mówił, że pokazały się gromady wilków.

— A to co innego, ja się wilków nie boję...

Przerwał rozmowę małżonków donośny głos pana Jacentego stój!

— Co takiego? zapytał starosta, wychylając głowę z karety.

— Ujrzałem po śniegu, panie starosto, gesty trop wilczy. Trzeba żeby sanie jedne za drugimi wolnego truchcika jechały: my otoczmy je dokoła. Bartosz, z pochodnią naprzód!

I stary strzelec na siwku, wysunął się przed pierwsze sanie, potrząsając co chwila gorejącą pochodnią.

Z bitego gościńca zjechaliśmy w lewą drogę, wiodącą krańcem puszczy. Zmrok już gesty zapadł, dwór pana skarbnika zdala jak na dłoni z pagórka wido-



POLONEZ. (Skomponował i rysował Lewicki.)

Pan Jacenty, był to jej daleki krewniak, zawołany myśliwiec, zawiadujący w dobrach starosty jako nadleśny obszerne mi borami.

Po wypoczynku, zaczęto robić przygotowania do wyjazdu kuligowego. Dwadzieścia kilka sań napędlono obszerne dziedzinie przed dworem. Wytocono staroświecką karetkę na saniach, którą młodzież zebrana z ciekawością oglądała. Na szerokich łóżach, które się na przodzie kończyły ogromną głową murzyna w ponosowym zawoju, z wyszczerzonymi białymi zębami, umocowane silnie, wznosiło się pudło ogromnej karety. Cztery jej rogi stroiły małe brązowe wyłaczane wieżyczki, z głośnami dzwoneczkami. Drzwi każde zdobiła para malowanych na tle pasów białych gołąbków, całujących się dziobkami. W tych to saniach, przed czterdziestą kilką laty, jechał pan starosta do ślubu.

Wyobroczone dobrze konie, i nazajutrz po śniadaniu postanowiono wcześniej wyruszyć, bo było blisko sześć mil do dworu państwa skarbnikostwa.

Szanownych gospodarzy obu tych domów, nazywamy dawnymi, z czasów jeszcze Rzeczypospolitej, tytułami godności, które niegdyś posiadali. Stan rzeczy już wtedy się zmienił, młode pokolenie nie znało ani starostów, ani skarbników; lecz chociaż w urzędowym języku nie miały te tytuły żadnego znaczenia, wszyscy je dawali przez szacunek tym, którzy je da-

Dwie mile do puszczy, przelecieliśmy w przeciągu niespełna godziny. Przed karczmą dano nieco wytchnąć koniom i rozpytano o pierwsze sanie.

— Ho! ho! proszę jaśnie pana, zawołał gospodnik, już dobry kawał czasu, jak tu był pan jakiś, ubrany jak diabeł wenecki. Dzieci go się nastraszyły i wszystkie za piec uciekły, a on tylko odetchnął koniom i znowu jak wiatr pojechał.

Ruszyliśmy dalej: w puszczy najwyborniejsza sania, a śnieg ubity, nieraz pod kopytem ostro kutym iskry wyrzucał. Konie same ochotczo leciały. Szum cichy puszczy, parskanie rączych biegunów, pokrzyk wozni i gwar wesoły jadących, mieszały się w dziwną a radosną harmonię.

Pan Jacenty ze strzelcami, wyciągniętym kłusem, dotrzymywał saniem.

Zmrok w puszczy wcześniejszy; to też przebywszy trzy mile dobre, cały orszak zatrzymał się w karczmie na uboczu stojącej, odpocząć koniom i przebrać się jak należy.

Kiedy w godzinę później siadaliśmy do sani, pan Jacenty, po krótkiej na stronie rozmowie ze starostą, kazał zapalić kagańce i pochodnie; pierwsze rozdał do każdego sani, drugie strzelcy ujęli w ręce.

Zwolniono kłusa.

czny, bo we wszystkich oknach biła luna od świec jarzących.

— Adasiu! co to tak w tej puszczy ciemnej świeci, jakby świętojańskie robaczki, tylko większe i jaśniejsze?

W tę chwilę zabrzmiał głos pana Jacentego: Bartosz, lepszego kłusa wyciągaj!

I ruszyliśmy rzeźwo, jak z domu wyjeżdżaliśmy.

— Te ogniki, moja Teofilko, odrzekł mąż z uśmiechem, to są ślepie stada wielkiego wilków, któreby nas tu schrupały, gdyby nie pochodnie i kagańce.

— Jezus, Marya, Józef! zawołała pani Adamowa błędniejąc, a wasza broń?

— Dobra byłaby na kilku lub kilkunastu, lecz nie na taką chmarę. Ale niebezpieczeństwo minęło, już wjeżdżamy w opłotki wiejskie. Patrz Teofilko, jak błady pan Jacenty przy tym połysku pochodni; to męźny człowiek, a te ogniki nie miały mu piotra napędzić.

(*) Sęk, nazwa zbrojcy głośniego w owych czasach, tak w puszczy brańszczykowskiej, jak i w okolicy całej. Rodem był kurp, słynny z olbrzymiej siły; postronki rwał jak nieci, łamał podkowy. Schwytyany przez jednego z panów podróżnych, skropowany, leżał już na bryce. Odetchnawszy ze zmęczenia i bójk, po krótkim spoczynku, jak naprężył silnie ręce, jak szarpnął, pękły postronki, a Sęk zeskoczył i znikł w puszczy. Odtąd już śladu jego nie było.

— Zgasić pochodnie i kagańce, zabrzmiał głos nadeśnięty, i w jednej chwili zmrok nas ogarnął. Tylko silniej bijące luną okna dworu skarbnika rozświecały nam drogę. Wjechaliśmy bramą roztwartą, a muzyka kuligowa zabrzmiała przy wtórze pieśni ową sławną, weselną śpiewankę:

Ażebyś ty chmielu na tyczki nie laźł...

Na ganku zjawił się niespodzianie nasz arlekin, i on wprowadził na wielką salę kuligowy orszak. Na progu przy drzwiach roztwartych, trzymając na tacy chleb i sól, sędziwi skarbnikostwo powitali z gronem rodziny swojej oczekiwanych gości. Starosta rzucił się w objęcia skarbnika, i dwaj nad grobem stojący starcy radość swoją tylko łzą serdeczną świadczyli, bo ze wzruszenia słowa przemówić nie mogli.

Muzyka kuligowa zabrzmiała, odpowiedziała jej kapela, wcześniej widać przygotowana, lecz w oranżeryi dotąd ukryta przez skarbnika. Radosny wykrzyk dowodził wesela wszystkich.

Pan Jacenty, już przebrany, ukazał się w sieni, gdy arlekin porwał go za rękę i wciągnął do bocznej alkowy. Wszedłem za nimi. Kiedy przywódca kuligu zdjął maskę, poznałem dopiero w arlekinie Piotra, akademika warszawskiego, którego zwano zwykle skoczkiem, dla zgrabności w tańcu i lekkości. Był to także krewniak daleki starościny.

— Ach, mój Jacusiu, mówił oddychając całą pierś, ledwo żyję. Czy wiesz że mało mnie te bestye nie pożarty na drodze. Ocalenie moje winienem jedynie rącości dzielnego jednochodnika i przytomności małego Januszka co nim kierował. Kiedy wspomnę sobie tę chwilę, to mróz czuję w kościach.

— Widziałem ich gromady, odrzekł Jacenty, i dreszcz mnie przeszedł, lubo ufałem w pochodnie i kagańce.

— Uważał pan Adam, żeś pan pobłądził nieco, dodałem, gdy kazałeś w opłotkach gasić pochodnie.

— A zkadże wiesz o tém? zapytał chmurno nadeśnięty.

— Siedziałem w saniach państwa Adamostwa, obok woznicy, i słyszałem całą ich rozmowę.

— Było czego też zblednąć, mój chłopcze, mówił pan Jacenty marszcząc brwi ponuro.

Jak żyję i jestem myśliwym, takićśśm diabelskićśm wilków zebranej razem nie widziałem nigdy; ślepią ich błyszczały w gestej puszczy, jakby gwiazdy rzucone z czarną chmurą na ziemię.

— Ach mój Jacusiu, mówił skoczek, już u mnie była dusza na ramieniu. Wyobraź sobie: na gościńcu mały Januszek kręcił głową, bo poczuł gesty trop wilków; ale zaledwie zjechaliśmy na drogę do Mieszkowa, stanął w sankach i rzekł do mnie z cicha: „Trzymajmy się krzepko w saniach, bo jeżeli nie uratuje nas białonóżka, to zjedzą nas bestye.“ Myślałem że chłopak żartuje, ale spojrzawszy w około zadziłem: kotłowało się tylko w zaspach śniegu od rozrzuconych gromad wilków, co zbierały się w jedną chmarę. Januszek nacisnął czapę, świsnął i potrząsnął lejcam, a białonóżka jak wiatr pomknął. Droga jak

czmy. Dopiero z Januszkiem zaczęliśmy o was myśleć. Chłopak dodawał mi nadziei, że tak liczne kuligu nie zaczepią wilcy, że tam będzie pewnie pan Jacenty...

W tę chwilę kapela zabrzmiała poloneza Kościuszki, wszyscy ruszyliśmy do sali.

Na czele długiego szeregu par stał pan skarbnik, wiodąc za rękę starościny; w drugiej parze postępował starosta ze skarbnikową. Dwaj ci sędziwi starcy z poważnymi matronami, wiodąc rej w tym polskim tańcu, stanowili główną jego ozdobę. Przybrani w granatowe kontusze, w perłowe żupany i bogate srebrem i złotem przerabiane pasy, postępowali wolnym krokiem w takt tańca, a za nimi w ich tropy rozwijał się długi-korowód par statecznych i młodzić.

Aby poznać całą powagę i piękność tego tańca, którego tradycya coraz bardziej zatacamy, trzeba było widzieć naszych starych kontuszowców, z jaką gracyą wiodli swoje damy; z jakim uszanowaniem pochylali siwe głowy przed niemi, gdy zataczali kołem w inną stronę; z jaką energią i życiem przytupywali w taktowym, posuwistym chodzie; z jakim wdziękiem i z jaką składością to ujmowali się pod bok ręką, to pokręcali sumiastego wasa; z jaką wreszcie atencją i rewerencyą tanecznice swoje odprowadzali na miejsce i dziękowali ucałowaniem ich rącek, że raczyły towarzyszyć im w tańcu.

Na dany znak umilkł polonez. Starosta ze skarbnikiem i z podżyłymi przyjaciółmi i krewniakami, przeszli do boczego

pokoju, gdzie na tacy zastawiono kieliszki i butelki oplesniałe z węgrynem; starsze wiekiem matrony pozostały w sali, patrząc na wesołą młodzież, jak się zabierała do ochoczych tańców.

Kulig miał dawniej do siebie przywiązane pewne tylko tańce: do nich należał polonez, mazur, oberek, krakowiak i drabant. Znane i upowszechnione u nas wówczas, jak: walc, kotylin, anglez i kontredans, wywołane były ze staropolskiego kuligu.

W gronie gości skarbników, których zastaliśmy w ich domu, zwróciła uwagę moją postać poważnej matrony, lat może czterdziestu, ale ciastwej jeszcze i dorodnej. Przy niej nieodstępna towarzyszą była młode dziewczę, lat 16, z anielskim spojrzeniem i uśmiechem. Uważałem że pan Jacenty ciągle towarzyszył tej parze: bawił rozmową poważną damę



MAZUR. (Skomponował i rysował Kostrzewski.)

po stole, to też lotem sokoła przelecieliśmy pod opłotki wiejskie, zanim nam wilcy mogli zastąpić. Kiedy wpadliśmy do wsi, byliśmy obaj spoceni do nitki, nie mówiąc już o dzielnym białonóżce. Januszek wstrzymał konia, przeżegnał się, a odwracając głowę: „Patrz pan, zawołał, i przelicz gromadę tych bestyj!“ Zajechaliśmy do karczmy: parę kieliszków anyżówki dopiero przywróciło mi zmysły. Zmrok już zapadał; co prędzej wjechaliśmy na podwórze, nie uważając że dwór cały jaśnieje od rześistego światła. Zwyczajem dawnym rzucam niedźwiedzie, wpadam na salę, zaczynam skakać po krzesłach i stołach, krzycząc: „Kuligi! kuligi! jedzie!“ Za odpowiedź jak utnie kapela krakowiaka, tak ja w nogi i na sanie, zmiarkowawszy że skarbnikostwo już wiedzieli o naszym najeździe; ale nie wracałem już do was, tylko napowrót do kar-



SZLICHTADA. (Skomponował i rysował Pillati.)

a z wielkiem wzruszeniem spoglądał na piękną panienkę.

Korzystając z chwili gdy wyszedł do bocznego pokoju:

— Kto to jest, panie Jacenty, ta dama i ta śliczna panna?

— Starsza, panna-wdowa, a ten śliczny, jak do-brze mówisz, aniołek, to panna Hanna, córka kapita-na, co w sąsiedztwie mieszka. Ale chodźmy na ganek, noc pogodna i jasna; ochłodzę się nieco po tańcu.

Rzeczywiście noc była przecudna; blask księżyca jeszcze jaśniej odbijał od białego śniegu; puszcza cie-mna nabrała jakiegoś jaskrawego połysku: to szron zawieszony na gałęziach sosen, promienie księżyca brylantowemi odbijał ognikami.

— Patrz tam, rzekł Jacenty, na prawo, już w czy-stém polu, na tém wzgórzu ocienioném wieńcem gę-stym starodrzewu; to dwór w Dębowej-Wólce kapi-tana, ojca tej panienki, a na uboczu drewniany ko-sciołek ubogiej parafii.

— Czy kapita na tu niema w naszym gronie?

— Nie, żona nieco słaba, wysłali córkę z krewną swoją, panną Brygidą.

— Dlaczegoż, mój Jacusiu, nazwał ją panną-wdową?

W tę chwilę kapela zabrzmiała dziarskiego mazura. Zerwał się pan Jacenty:

— Zamówiłem kapitanównę, po tańcu wszystko ci opowiem.

Wróciliśmy na salę.

Trzeba było widzieć jak on tańczył mazura z pię-kną Hanną. Słyszał też nie darmo na całą okolicę. Trudno dziś zobaczyć równie energiczny, dziarski i ry-cerski taniec, jakim bywał mazur w owe czasy. Te-raz młodzieniec z hardą i suchowatą miną, dzielnie się zwiija, ale mniej dba o swoją tancerkę, sam sobą zajęty; dawniej tancerz, rozwijając całą dzielność męż-ką, na chwilę nie spuścił z oka swęj towarzyszkę. Kiedy z miejsca poskoczył, z wydatną piersią, z gło-wą podniesioną, wznosząc lewą rękę w górę, uderza-jąc podkówkami silnie, aż okna zadrżały, to jakby z całym zapalem uderzał w otwarty boj na nie-przyjaciela. Ale po chwili, gdy spojrzął na swą ta-necznicę, co drobnymi nóżkami podążała w jego śla-dy, to już od jej oblicza, od jej postaci nie odwracał oczu. Po pierwszym junackim ruchu, zwraca całą tro-skliwość na miłą a piękną towarzyszkę, wiedzie ją z wdziękiem, staje, pochwyca w pól, a ona w około niego okręca się, jak bluszcz zielony około dębu sil-nego, gotowego do łamania się z burzą życia i losów nieprzyjanych.

Zawiodło dwanaście par wielkie koło i skończył się mazur.

Jacenty usiadł zmęczony w końcu sali przy mnie, a odetchnawszy swobodnie, tak ciągnął dalej przerwa-ne poprzednio opowiadanie:

— Dziwiłeś się żem pannę Brygidę, opiekunkę ka-pitanównę, nazwał wdową. Opowiem ci jej krótkie a smutne dzieje. Jest to krewniaczka daleka kapita-na, była zaręczoną z jego rodzonym bratem starszym, panem Janem. Dzień ślubu już był oznaczony, kiedy go dawni towarzysze broni wezwali do legionów włoskich. Pan Jan, dawny z Kościuszkowskich czasów wojak, stanął przed swą narzeczoną smutny i blade, pokazał wezwanie i jedno tylko wyrzekł słowo: „jade.“

— Jedź, o jedź, mój drogi, przemówiła drżącym głosem młoda wówczas i piękna Brygida; ale chodźmy może raz ostatni wysłuchać razem mszy świętej.

Właśnie dzwonek z drewnianego kościółka, który ci pokazywałem, wzywał wiernych do modlitwy. Kle-żąc przy wielkim ołtarzu, wysłuchali nabożeństwa, a sędziwy proboszcz, uwiadomiony o powodach ich roz-łączenia, pobłogosławił pochylonych ze łzami uśtopni ołtarza.

— Ja ci przysięgam, Janie, że będę czekać twego powrotu, i ze innego nie będę żoną.

Wojak podaną rękę ucałował, a sciskając ją, wy-rzekł wzruszonym głosem:

— A ja przysięgam, że będę ci wiernym do śmierci.

Dosiadł konia i wkrótce znikł z oczu Brygidy.

Odtąd wiele lat upłynęło, rzadkie o wojaku przy-nosząc wieści. W boju wszędzie narzeczoną panny Brygidy odznaczał się dzielnie, został szefem batalio-nu, a potem... zginął w górach włoskich, w wypra-wie partyzanckiej.

Kiedy kapitan, ciężko ranny, powrócił do rodzinnej wioski, na samotnym ganku skromnego dworu, ujrzał stojącą Brygidę.

— Twój Jan zginął, jak na mężnego przystało. Oto po nim pamiątki, które ci składam.

I doręczył jej krzyż legii honorowej, krzyż polski i szlifę skrwawioną.

— Tę szlifę zmaczałem we krwi jego, ostatnie sło-wa które wymówił były: ojczyzna i twoje imię.

Brygida upadła na kolana i przyjęła te pamiątki jak drogie relikwie.

Kapitan wtedy wyrzekł ze łzami:

— Miałś być moją bratową, Bóg inaczej rozporzą-dził, ale przyjął wasze śluby. Oboje, wierni przysię-dze, dotrwaliscie razem. Powstań Brygido, odtąd uwa-żam cię jako wdowę po moim bracie.

— Tak, jestem wdową! odrzekła.

I pozostała wierną pamięci swego Jana.

Pan kapitan się ożenił. Po urodzeniu Hanny, Bry-gida ją wykolyssała, a dziś, razem z matką, czuwają nad nią troskliwie, jak nad pięknym a wątłym kwiatkiem.

Z częścią i uwielbieniem patrzyłem odtąd na panią Brygidę.

Trzy dni trwała wesoła zabawa. Powtórzyła się tu znów scena bandy Cyganów, tylko już pan Jacenty nie przedstawiał niedźwiedzia, bo zastąpił go jeden ze zwinnych parobczaków folwarcznych. Przybył do tej bandy jeszcze *tur i żoraw*, z gromadą wiejską, któ-ra po odśpiewaniu pieśni kolendowych, hojnie ura-czoną została.

Na czwarty dzień *skoczek*, przebrany za arlekiną, pod wieczór wyruszył swojemi saneczkami do dworu państwa kapitanostwa, z zapowiedzeniem kuligu. Mie-liśmy bowiem nazajutrz napaść ich skromny dworek.

Kiedysmy oczekiwali z utęsknieniem jego powrotu, w miejsce skoczka naszego, zajeżdżał stary wiarus Maciek, i zatrąbiwszy pobudkę wojskową, na której odgłos wszyscy wypadliśmy na ganek, doręczył panu skarbnikowi pismo w formie urzędowej, z wielką pieczęcią.

Pismo na wielkim arkuszu było tej treści:

„Ja niżej podpisany, z polecenia j. w. starosty i skarbnika, przybywszy do dworu wielmożnego kapi-tana, wedle przyjętego zwyczaju, po wyskoczeniu z sanek, wbiegłem do pierwszego pokoju i zacząłem krzy-czeć: kulig! kulig! Ale kiedy po skończeniu mojej mis-syi, chciałem wrócić do sanek, wielmożny kapitan z gołą szablą zastąpił mi drogę i kazał się poddać, oświadczając że bierze mnie w jassy. Tak mając do wyboru śmierć lub niewolę, wybrałem ostatnią. Sie-dzę w lochu na pięć sążni głębokim, wilgotnym, za-grożony głodem, gdyż postawiono mi kubek wody i wiązkę siana. Wzywam prędkiej pomocy prześwietne-go kuligu, ażeby raczył wyzwolić z ciężkiego karcereśu wiernego
Skoczek arlekiną.

Pan Jacenty, po przeczytaniu tego pisma, zawołał groźnie:

—Starego Maćka porwać jako zakładnika i związać, a jeżeli nie wróci zaraz skoczek, powiesić na lipie.

Pan starosta odrzekł poważnie:

—To parlamentar! nietykalna jego osoba.

—To poseł od sąsiedniego państwa, ktoś zawołał, a drugi dodał:

—Co on winien? Poseł, to jak osieł, co na niego włożą, to dźwiga.

Pan skarbnik dobył dukata obrączkowego i wsu-nął go w rękę siwego Maćka; pan starosta dodał dru-giego. Kobięty obstały go kołem i prosiły ażeby nie zamorzono biednego skoczka.

—Ma się on tam z pyszną, odrzekł z uśmiechem Maciek, dosiadł sanek, a po otrąbieniu pobudki, od-jechał szybko.

Nazajutrz rano wyruszyło kilka san ładownych do-brze w stronę dworku kapita na, z kucharzem i kuch-tami. Sterczały z nich baryłki wina, miodu i wysta-łego piwa, trzy sarny, dwa dziki, a ptastwa dzikiego i swojskiego co nie miara.

Przy zmierzchu wieczornym ruszył nasz kulig cały, powiększony gronem rodziny skarbników. Pani Bry-gida z Hanną już od dwóch dni wyjechały.

W mgnieniu oka przesunęliśmy się po ubitej dro-dze; ale zaledwie wjechaliśmy w opłotki, huk wystrza-łów z moździerzyka i ręcznej broni, odbił się głuchem echem w ciemnej puszczy.

Na ganku oczekiwali już kapitan, pani Brygida i Hanna. Kapitanowa, nieco słaba, pilnowała naszego więźnia. Starosta ze skarbnikiem uściskali serdecznie wszystkich i prosili o uwolnienie skoczka.

—Złożyliśmy już haracz należny, mówił skarbnik. Jako mieszkańcy puszczy, nie mamy złota ni srebra. Dlatego proszę przyjąć trofea myśliwskie i miodek z na-szej leśnej pasieki....

—A czy to się godzi, mości skarbniku, tak ubogą moję chatę obsypywać?

—Chodźmy zobaczyć czy żyje jeszcze nasz uwięzio-ny arlekin.

—Prosimy! prosimy!

I weszliśmy do wielkiej izby; za stołem siedział nad resztkami pieczeni huzarskiej, dobrze podpoiony i spia-cy skoczek: wypróznione dwie opleśniałe butelki po węgrzynie, stały przed nim. Sędziwa kapitanowa z macierzyńską troskliwością ocierała pot kroplisty

z jego czoła. Stał jednak przy nim i kubek wody i leżała wiązka siana. Pan Jacenty, stanawszy przed śpiącym, załamał ręce niby z rozpaczą.

—Otóż przyszedł ci koniec, dzielny nasz towarzy-szu! Śpij, śpij spokojnie.

Kapitanowa przeprowadziła nas do saloniku od ogrodu.

Że bawiliśmy się ochoczo, że dokazywał wesoło sko-czek rozbudzony, nie potrzebuję dodawać. Dwa dni były przeplatane to radośną pohulanką, to chwilowym spoczynkiem.

Pan Jacenty tańczył tylko z panną Hanną—nikt do-bić się do niej nie mógł. Trzeciego dnia, kiedy już sianie nasze zajechały, kapitan na klęczkach uprosił do pozostania jeszcze dzień jeden. Skarbnikowa i staro-scina pierwsze mu przyrzekły że zostaną; reszta dru-żyny poszła za ich przykładem. Jacenty zacierał ręce z radości; śnać spodziewał się jakiegoś szczęścia dla siebie.

Po sutym obiedzie, kiedy wniesiono puhar staro-świecki, starosta, napelnivszy go powstał, a prosząc o głos, w te odezwał się słowa:

—Mościwi, a mnie wielce miłościwi panowie bra-cia i przezacne damy! Używając w domu tym szano-wnym takiej staropolskiej gościnności, pozwolicie że wniosę i powtórzę raz jeszcze zdrowie gospodarstwa, ich dorodnej córy i zacnej pani Brygidy!

—Niech żyją! zawołało do stu głosów.

—Pijąc zdrowie, to szanowne, wspomnieliśmy o pię-knej a dorodnej córce wielmożnych kapitanostwa....

Jacenty drżał cały od wzruszenia, zbladł i lży sta-nęły mu w oczach.

—Owoż dobra pora, jako baczmy, ażebyśmy wno-sząc jej zdrowie, wstawili się zarazem za naszym mi-łym krewniakiem, panem Jacentym, który oddawna stara się o jej affekt, i teraz przez moje usta prosi o jej rękę.

Jacenty z głośnym płaczem upadł do nóg kapita-nostwa.

—Pewnym będąc approbaty, projektuję abyśmy dziś pozostawszy, zaręczyny młodej pary odbyli....

Kapitan, hamując wzruszenie głębokie, wyrzekł tylko:

—Na tak poważne życzenie z chęcią się z moją żoną zgadzamy.

—Vivat! zawołał starosta ze skarbnikiem, vivat! ura-dowane całe kolo.

Przyniesiono pierścionki na tacy, ksiądz proboszcz miejscowy, następca tego co błogosławił Brygidę i Ja-na przed laty, poświęcił je: radość Jacentego była nie do opisania.

Kiedy młodzież hulała rażno i wesoło, w bocznej alko-wie siedzieli starosta, skarbnik i kilku poważniej-szych. Kapitan dolewał starego węgrzyna w opróżnio-ne kieliszki. Zajmująca gawęda tych starców, co pa-miętali tak dobrze dawne czasy i sami mieli w nich udział niemają, przywabiła mnie do ich grona.

Wspomniano konfederacyę barską. Gospodarz wte-dy dał znak chłopcu, ten przyniósł szkatułkę, a z niej kapitan wyjął skrzypce swoje.

—Panie starosto, mości skarbniku! posłuchajcie! za-gram wam piosenkę dobrze wam znaną. Grywałem ją we Włoszech, i śpiewaliśmy ją razem z Janem w wi-gilię śmierci jego.

I pociągnął smyczkiem, tęskne a rzewne tony po-ruszyły obu starców. Kapitan, jakby nie zważając na ich wzruszenie, wtórował sobie słowami, z których dosłyszałem tylko te dwa wiersze:

„Już nie będą przestępować
Pulańskiemu drogi:

Skarbnik i starosta porwali się na równe nogi, rę-ce ich prawe spoczęły nagle na lewém biodrze, jak-by szukały rękojeści szabel; ale zaraz rzucili się w obje-cia wzajemnie i głośno zaszlochali.

O! był to widok, który się zachowuje wiernie do grobu w pamięci. Płacz starców rozkulił wszystkich obecnych. Padaly lzy kapita na gęstemi kroplami na skrzypki, a on grał, dopóki nie dograł piosenki całej.

Tak się skończył kulig staropolski.

W wiele lat potem konno przebywałem tę okolicę. Dwór wspaniały skarbnika stał w płomieniach, wioska pusta: przeszła tedy strasza pożoga wojenna.

Starostwo oboje, równie jak skarbnikostwo, odda-wna spoczęli w grobie. Niedługo ich przeżyli kapitan z żoną.

W tym samym dworku Dębowej-Wólki mieszka Jacenty z ukochaną żoną; dziatwa dorosła, trzech syn-ów i dwie córki, wszystko żonate, zamieszkała w in-nych stronach królestwa. Tylko pani Brygida, prze-szło siedmdziesięcioletnia matrona, jeszcze modli się w tymże samym kościółku drewnianym, na tych sto-pniach ołtarza, gdzie ślubowała miłość i stałość wa-lecznemu legionście.

K. W. W.

O HAJNAŁACH KRAKOWSKICH.

NAPISAŁ

Józef Łepkowski.

Brzask, jutrenka, przejście posępnej nocy w pełne nadziei świtanie, to budzenie się wstającego słońca — wszystkie wiary zsymbolizowały w tajemniczych bóstwach poranku. Dość wspomnieć Indrę, boginię światła w starym sanskrycie, heleński myt Eos, lub rzymską Aurorę. (1)

Świat katolicki pojęcie Bogarodzicy, to misterium wcielenia Zbawiciela naszego, połączył z pełnym cudów budzeniem się dnia z obsłon tajemniczej nocy. Jutrenka mówi do nas z ciemnego nieba błękitu, że noc zapada, a dzień pocznie i wejdzie słońce — pośredniczy między cieniem a światłem, tak jak Marya rozgraniczyła noc poganstwa od przyjścia Chrystusa Pana. Do niej woła śpiewak Pieśni nad pieśniami. (VI 9.)

„Któż to jest, co idzie jako zorza powstająca, piękna jako księżyc, wybrana jako słońce?”

Gwiazda zaranna, przymiot N. Maryi Panny w loretańskiej litanii, tłumaczy się: iż jak jutrenka światłością gwiazdy, ona przechodzi uwielbionych świętością swoją — jak przed słońcem noce uchodzi ptaństwo, przed nią czart w piekielne zapada ciemności, jak jutrenka dzień, tak Bogarodzica zwiastuje nam przyjście Chrystusa Pana.

W pieśniach kościelnych wielokrotnie przychodzi spotykać się z uwielbieniem Matki Boskiej, jako opiekunki poranku. Mnóstwo hymnów jutrennych i laudów piękną poezją brzmi od wieków w świątyniach pańskich. Łacińskie teksty tych pieśni zebrał i pochodzenie ich objaśnił F. J. Mone, w uczonym dziele swoim (Hymnen des Mittelalters, Freiburg 1854. Marienlieder tom IIgi). Mamy je w wielu naszych śpiewnikach, a ks. Hołowiński (Hymny kościelne) powabnie przełożył z nich kilka.

Mimo że u nas oddawna pieśń Bogarodzica prowadziła rycerstwo do boju, przecież wzrosło nabożeństwo do N. Panny Maryi datuje się w świecie katolickim od XIV stulecia. Wtedy wiele świąt ku czci Matki Boskiej przybyło, za papieży: Grzegorza XI, Urbana VI i Benedykta XIII. Pod owe czasy (1348 r.) zaprowadził kościół dzwonicie na *Anioł Pański*; skałperze, rożance i rycerskie zakony pod godłem N. Maryi Panny, nie o wiele wcześniejsze. Wtedy wreszcie za króla Ludwika węgierskiego (1382) zajaśniała w Polsce częstochowska góra.

Szczególne nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny dziada, babki i ojca królowej Jadwigi — kiedy to „zamek krakowski brzmiał bezustannie chwałą Bogarodzicy,” (2) sprawiło u nas że ów Kraków, co śpiewem i muzyką słynął w te czasy lutnisty z Sanoka, budził się hajnałami i pobożną pieśnią. (3)

Wyraz hajnał (*hejnał*, *ejnał*) służący na oznaczenie porannej pieśni do Matki Boskiej, podaje Knapski (w Słowniku), wedle Lipsiusa i Karola Clusiusa, jako pochodny z węgierskiego *heinal*, co znaczy jutrenkę. Za Knapskim poszli: Linde, (4) Gołębiowski, (5) Pol (6) i Szajnocha, (7) przyznając czasem Ludwika węgierskiego i Jadwigi powstanie obyczaju grania na trąbach hajnałów po miastach z wież i w obozach na pobudkę.

W pisarzach naszych nie znajduję wcześniejszych nad wiek XVI wzmianek o hajnałach, a głównie w obozach i w Krakowie je trąbiono. Przecież wzmianki te okazują, iż piszący wspominają hajnały tonem, który pozwala się domyślać, że mówią o dawno známym i powszechnym obyczaju.

I tak: w rachunkach wydatków miejskich krakowskich jest pod r. 1589 wzmianka o płacy dla trębaczy wieży maryackiej. (8) Czuwali oni nad bezpieczeństwem miasta od ognia, trąbiąc co godzina, a budzili miasto hajnałem o wschodzie słońca. Taż wiadomość jest w Pamiętnikach Orzelskiego (r. 1596). Także Gaetani pisze: (9) że przed brzaskiem odzywa się ze wszystkich wież krakowskich muzyka, jutrenkę witając.

Szczególnie grano z wieży maryackiej hajnały przez adwent, zaczynając je wnet po północy aż do świtu. W grudniu, w ów czas posępnego mroku, muzyką tą gotowano się do Bożego narodzenia, chwil w których witamy powrót słońca z nowym latem i obchodzimy pamiątkę wcielenia Syna Bożego, moralnej światłości naszej. Wartoby wskrzesić ten obyczaj.

Ztąd poszło i przysłowie: *już po hajnałach*, jakby mówiąc: *za późno, już po godach*. W tém znaczeniu rozumie to wyrażenie Groicki, pisząc: (10) „Trza zawczasu kuratora sierocie, nie wtenczas kiedy, jak mówią, po hejnale, kiedy już wszystko utraci.”

Że ci stróża na wieży, co godziny graniem oznajmiali i strzegli ognia, trąbili zarazem hajnały, jasne

z Reja gdy mówi: (11) „Pocziwemu nie trzeba stróża z hejnałem na wieży, bo już stróżem u niego cnota.”

W poetach często spotykamy się ze wzmianką o hajnałach trąbionych w obozach na pobudkę. I tak Twardowski pisze: (12)

„Jakoż zaraz próbować zechcą swój fortuny,
I zagrzmieć ogromnemi na hejnał pioruny.”

Chrościeński śpiewa: (13)

„Niż jutrenka nad obozem wschodzi,
Muzyki hejnał otrąbią krzykliwy.”

To znów całe już hajnały świeckie dadzą się przewieść z pisarzy naszych. Wespazjan Kochowski, śpiewając *Hejnał utraconej Koronie*, (14) zaczyna:

„Hejnał świta, słońce wstaje,
Wcześniej promień swój wydaje
Na postronne świata kraje.
Które kiedy raniiej wschodzi
Niepogodę pewną rodzi,
Cóż gdy nad tryb cma zachodzi?
Hajnał świta, cna Korono
I litewska zająca strono,
Patrz — kometę ujrzyz ono.
Cóż to znaczy, Polsko miła,
Na powietrzu znaków siła,
Twarz się słońce zakrawiła?”

Po tych prognostykach, budzi Polskę wieścią o śmierci Władysława IV, a ze wstępem na tron króla Jana Kazimierza, wzywa wszystkie ziemie Korony i Litwy do bronii. Widząc zewsząd zagrożoną ojczyznę, woła:

„Hejnał orle w białem pierzu
I litewski cny harcerzu,
Przy twym Janie Kazimierzu.
Otrąnij się, gotuj szpony
W obroty na wsze strony.”

Zbudziwszy wszystkich po szczególe do oręża przeciw Kozakom, Szwedom, Węgrom i Turkom, kończy modlitwą:

„Święty, mocny nasz o Panie!
Krzywdę czynią nam poganie,
Racz Twą zemstę zesłać na nie;
Bo niesłusznie cierpi wierny
Lud Twój ten ucisk niezmierny.”

Hieronim Morsztyn takim hajnałem wita jutrenkę: (15)

„Hejnał świta już w pokoju,
W złotopromiennym zawoju;
Tam na niebie śliczna zorza
Z głębokiego wstaje morza.”

Jutrenka rzuca promienie,
Rozgarniając nocne cienie;
Zwierz, ptak, ryba i pies czuje,
Że noc dniowi ustępuje.

Człowiek, pan stworzenia wszego,
Oczy ze snu powszedniego
W niebo wzniosłszy, Stwórcę świata
Wielbi po śnie w wszystkie lata.

Wstawaj królu! hejnał świta,
Muzyka cię ze snu wita;
Senat, rycerstwo, piechota,
Kołacą w twych zamków wrota.

Wstań marszałku, cny hetmanie,
Wojewodo, kasztelanie,
Cny starosto, ziemianinie,
Póki ranny czas nie minie etc.”

Tradycja przechowała w ustach ludu krakowskiego następny piękny hajnał, z którego przebija się język i układ z czasów Zygmunto-wskich, do Morsztynowskiego podobny (16).

„Hejnał świta, juźci z morza
Rumiana powstaje zorza,
Jutrenka w swojej jasności
Nocne rozgania ciemności.

Wstaje w liściu ptak ukryty,
Wstaje w puszczy zwierz niebity.
Wstań oraczu, hejnał świta,
Ziemia, słońce, niebo wita.

Pływa ryba i wół czuje,
Że dlań praca następuje;
Praca czeka, wstawaj i ty,
Rzemieślniku pracowity.

Wstań kapłanie, hejnał świta,
Już też jutrznią przyzwito;
Dawaj znak miastu dzwonami,
Czas chwalić niebo modłami.”

W poetach naszych przebija się często hajnałowy zakrój w pieśniach świeckich. Pomijając wiele innych, przytoczę z Sarbiewskiego: (17)

„Poranna roso niebieska,
Tryśnięta z góry jak łezka,
Od której gore
Połysk iskrzaty,
Co różnowzore
Okraplasz kwiaty,
Z której zieloność świetnieje zrana
Jakby perlami łąka usiana etc.”

Najpospolitszy wiersz hajnałowy bywa ośmioletkosłowy, strofami po 6 wierszy, z których zwykle trzy jeden rym miewają.

W. Pol w Mohorcie (18) dał nuty na dwie trąby in Es trzech hajnałów, napisane przez Wincentego Gorączkowicza, wedle starych. Są one do pieśni: „Witaj jutrenko rano powstająca — Królowo nasza od Boga obrana” i „Serdeczna matko, opiekunko ludzi”, tam więc ciekawego odsyłam.

Daję tu zaś hajnał o N. Maryi Pannie częstochowskiej: „Tysiączko bądź pozdrowiona.” (Obacz na stronie 168 Nr. 4).

Nutę do „Serdeczna Matko” powtarzam, choć ją dał Pol, bo tu napisana na fortepian. (Ob. str. 168 Nr. 2).

Także przytaczam nuty hajnałowej pieśni do N. Maryi Panny częstochowskiej:

„Królowo Polski od Boga obrana,
Na Jasnej górze ukoronowana,
Abyś ucieczką grzesznym ludziom była,
Wszystkim służyła,
Dawno Cię w niebie w słońce obleczono,
Miesiąc pod nogi pańskie rzucono,
Ze dwunastu gwiazd grzesznym na obronę
Danoć koronę i t. d.” (ob. str. 168 Nr. 5.)

Grywają na wieży krakowskiej N. Maryi Panny jeszcze dwa inne hajnały. (Ob. na str. 168 Nr. 3 i 4.)

Te trąbią zwykle przez cały maj rano od 5 do 6, dwakroć dziennie w czasie oktawy Bożego ciała, także z wieży ratuszowej w czasie processji Bożego Ciała z kościoła N. Panny Maryi — wreszcie odpusty zwykle przed kościołami w wigilię świąt otrębywane bywają.

Słyszałem niektóre z tych pieśni trąbione w Częstochowie, także z wieży kościoła kolegiackiego w Kielcach, a w tém mieście stojący Kozacy (w r. 1859 w lipcu i sierpniu) pobudkę i wieczorną modlitwę hajnałem na trąbach wygrywali.

Przechował się widać u nich ten stary zwyczaj obozowy, a dotrwał na Ukrainie. Wychodziłem wówczas rano i wieczorem ku Karczówce, aby słuchać jak rokosznie płynęła w świętokrzyżkie bory ta miła duszy melodia. Przypomniał mi się wtedy piękny ustęp z Mohorta:

„Hajnał krakowski zagrali trębacze —
Który od wieków, co zorzy porannej,
Z maryackiej wieży ponad Polską płacze
Czystymi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem mężkie podniosły się głosy,
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.
Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i po bojuwiskach
Od pokolenia stariej Polski płynął,
I tu dopiero w dnioprowych urwiskach
Na krańcach Polski w Ukrainie ginał.”

W języku rossyjskim jest wyraz *heinal-utrennaja pieśń*; więc widać że przez Kozaków przejęli od nas Rosyjanie ten obyczaj.

W. Pol sądzi, że za Stefana Batorego upowszechniły się hajnały w wojsku i wtedy niemi pieśń *Bogarodzica* zastąpioną została.

Za najstarszą pieśń hajnałową uważam załączoną tutaj, grywaną o zórzę w adwencie. Tekst tak się zaczyna:

„Hajnał wszyscy zaśpiewajmy,
Cześć i chwałę Bogu dajmy,
Nabożnie k'niemu wołajmy:
Mocny Boże z wysokości,
Ty światłem z swęj wszechmocności!
Rozpędź piekielne ciemności!
Już-ci ona noc minęła,
Co wszystek świat ucisnęła,
A początek z grzechu wzięła i t. d.”

(Obacz na stronie 168 Nr. 6 i 7.)

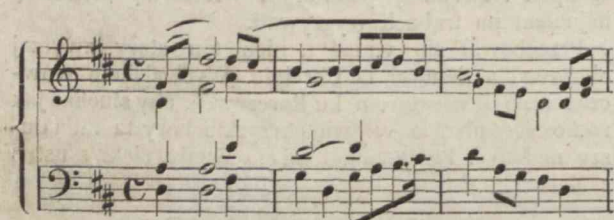
Pan St. Moniuszko raczył łaskawie nuty te rozpiścić. — Po nim to, oraz po Sikorskim, Kolbergu, Dobrzyńskim i A. Kątskim, spodziewać się nam wolno, że tego rodzaju zabytki muzyki religijnej odszukają, w całość zgromadzą i oceniają. Czas też zachować i wskrzesić ulatujące dźwięki z przeszłości naszej; bo z historii muzyki ojczystej nie wiele więcej wiemy dotąd nad to, co Łukasz Gołębiowski w swoim ważnym dziele (*Gry i Zabawy III 187—264*) jeszcze r. 1834 zebrał i ogłosił. Przecież i te liczne kancjonały a śpiewniki nasze krytyki czekają.

W Krakowie na processjach, wieczornych śpiewach przed figurami i obrazami Najświętszej Maryi Panny, oraz w chwilach gdy przechodzą przez miasto gromady pielgrzymów idących do Częstochowy, Kalwarii, Kobyłanki i Mogieli, usłyszysz często śpiewy i granie pieśni nabożnych. (19) Czekamy aż nam kto zażbrmi temi hymnami poranku, — przypomni dźwięki pieśni, co rycerstwo w obozach budziły, wskrzesi te śpiewy, co niemi rolnik witał słońce, a miasta je, wstając do pracy, nuciły. (Obacz Dodatek.)

MUZYKA DO HAJNAŁÓW KRAKOWSKICH.

Nr. 4:

Tysiąckroć bądź pozdrowiona i t. d.



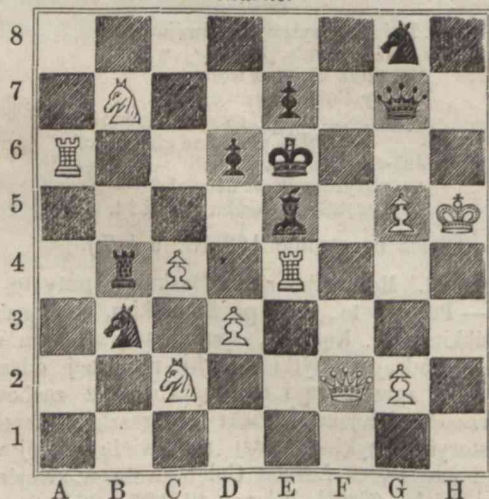
SZACHY.

ZADANIE LXII.

(Ks. W. G. z Mianocic.)

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 61.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------|------------------|
| 1) E4 — F3+ | 1) G4 — F4 |
| 2) F3 — E2+ | 2) F4 — E4 |
| 3) F4 — F3 | 3) D3 — E2 biorą |
| 4) H5 — F5 | 4) H6 — H5 |
| 5) D2 — D3+ | |

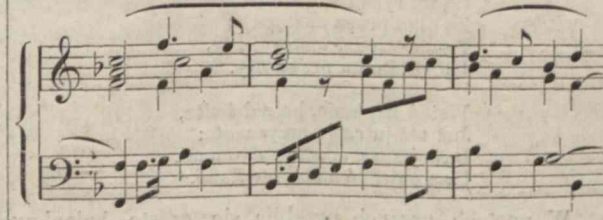
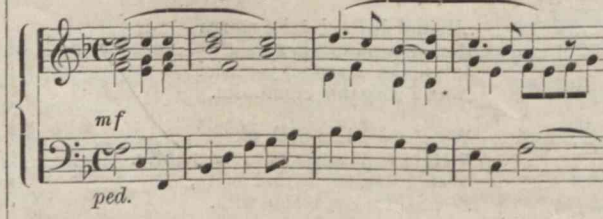
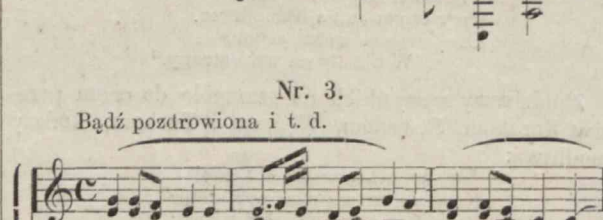
i mat.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 83.

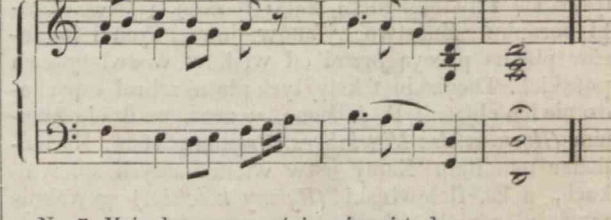
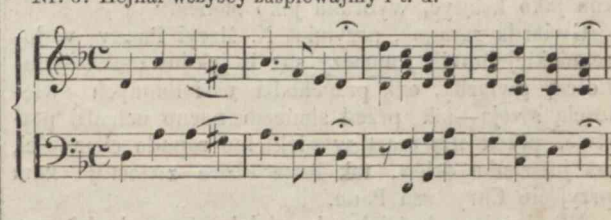
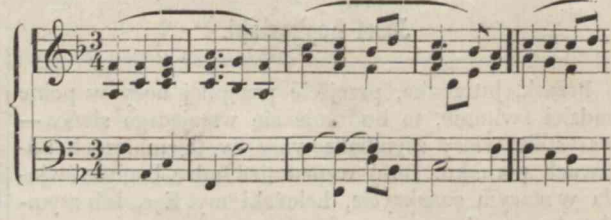
Wielcy ludzie nie latami, ale wiekami wychodzą.

Nr. 2.

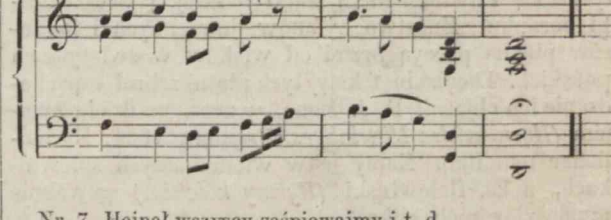
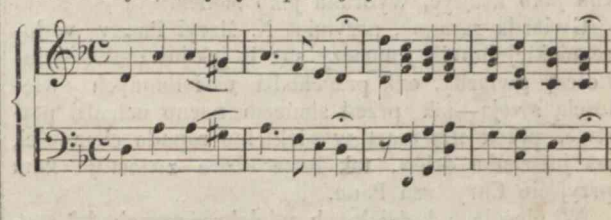
Serdeczna Matko i t. d.



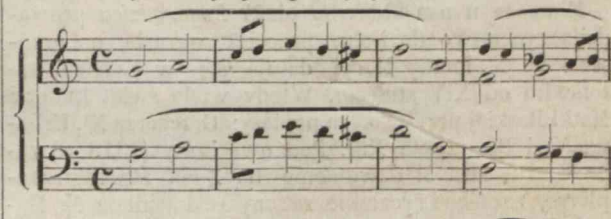
Nr. 5. Królowo Polski i t. d.



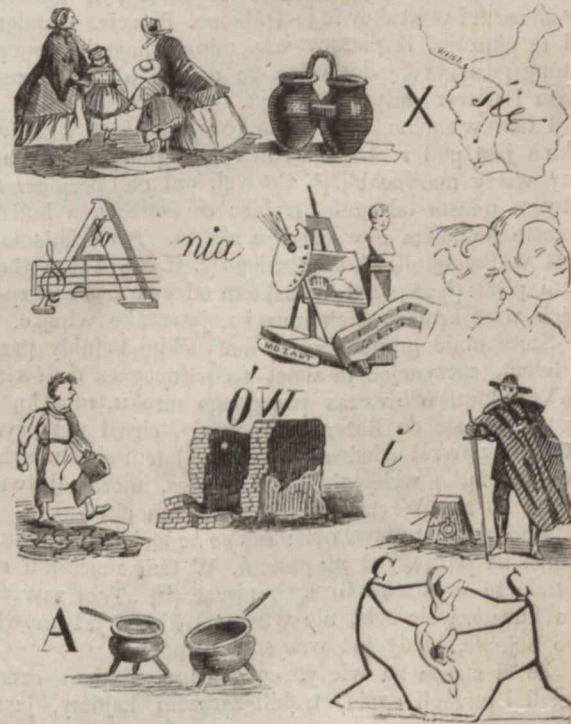
Nr. 6. Hejnał wszyscy zaśpiewajmy i t. d.



Nr. 7. Hejnał wszyscy zaśpiewajmy i t. d.



REBUS.



(Dodatek.)

Dotąd oto w Krakowie, gdy brzask zwiastuje majowy poranek, a pierwszy promień słońca padnie na szczyt maryackiej wieży i korona co ją wieniec złotem zapłonie, — cichnie słówik w nadwiślańskich gajach, bo hajnał wita jutrzeńkę. Wtedy ze zmroku wypływa orzeł z rozpostartymi skrzydłami, co od wieków unosi się nad wieżą ratusza; a pieśń hajnału w dalekie pola uniesie dźwięki swoje, ginąc aż tam gdzie w tatrzańskich lodowcach. Czujesz wtedy że to miasto królewskie, stolica, co budząc się wież koronami błyszczy.

Na odgłos hajnału z chat i wiosek biegnie lud do miasta, służyć stolicy — bo wstała już ta ukoronowana pani, a Wisła łśni od słońca i mgła z trzech mogił opadła.

Dzwony z wawelskich wież głoszą poranne modlitwy, a ze wszystkich kościołów na Anioł Pański wołają; — mnisi po klasztorach jutrznie zanucili, a pierwsza msza tłum pobożnych do maryackiego kościoła zebrała.

To krakowska rosa poranna, w której płuczą się serca, a przecierają oczy. Któż z Krakowian lub podróżnych zwidających w maju miasto nasze, nie pomni tych wdzięcznych poranków?

Siadź więc w polskim domu, dziewczeczko, do fortepianu, uderz w klawisze i zanuć hajnały krakowskie, a wszyscy zrozumieją te dźwięki, co się przez pięć prawie wieków w hajnały złożyły, rozumieją je, a niejednego Krakowiaka co u was znalazł przytułek, po tych hymnach lepsze sobie lata przypomni, gdy go z wiosną te pieśni budziły w starym grodzie naszym.

Wam więc nasze posyłam hajnały, z życzeniem, aby niewiasty niemi już od kolebek budziły swoje dzieci.

PRZYPISKI.

(1) Leucothea, Aurora, Dea matuta, Stella matutina, Morgenröthe.

Pojęcie rzymskiej Aurory przedstawili w obrazach: Dosso Dossi, Guido Reni, Wilhelm Fischbein, Paweł Guérin i August Kloeber. N. M. Pannę malował szczęśliwie jako jutrzeńkę M. Zarzecki. Piękny obraz jego, którego kopią widzieliśmy w Nrze 46 Tygodnika, posiada w Warszawie Edw. Bar. Rastawiecki.

(2) Długosz *Hist.* wyd. lipsk. X str. 55, o fundacji śpiewania w katedrze krakowskiej ofiary do N. Maryi Panny.

(3) Czytaj Szajnochę *Jadwiga i Jagiello* Tom II str. 177 do 179, 192—200.

(4) Linde w *Słowniku* wyd. lwowskie I 627.

(5) L. Gołębiowski *Gry i Zabawy* III str. 226.

(6) Pol w *Mohorcie* w przypisach.

(7) Szajnochę w *Jadwidze i Jagielle* II 179.

(8) A. Grabowski *tubicini turris exuberant.*

(9) *Pamiętniki kardynała Gaetano* z r. 1596, w wydaniu lipskim zbioru *Pamiętników Niemcewicza* II 101.

(10) *Obrona sierot* str. 92.

(11) *Zwierciadło* str. 135.

(12) *Władysław IV*, wydanie w Lesznie 1649, str. 122.

(13) *Farsalia* *Lukana* w *Oliwie* 1690 str. 286.

(14) Wydanie K. Turowskiego, str. 216 *Liryków* ks. IV—XI.

(15) Z rękopisu poezji tego Morsztyna, przechowanego w bibliotece c. k. Tow. nauk. krak. Odpisał mi go i udzielił łaskawie Dr Karol Mecherzyński, professor uniwersytetu jagiellońskiego.

(16) Mam go od starego organisty kościoła św. Anny, Leszczyńskiego. Prawie ten sam patrz w *Pamięt. Sandom.* zes. VIII.

(17) *Placidi rores matutini*, przekład Syrokomli.

(18) W *Objaśnieniach*, wyd. wiedeńskie, str. 210. Nr 2.

(19) Grywanie we wigilię i w czasie odpustów, nie ma stałych funduszy, placą je proboszczowie z własnych chęci. Trąbiono hajnały na wieży maryackiej przez sześć letnich miesięcy, dopóki dożyła na to pani Warraty, właścicielka domu w rynku (l. 14/43 Gm I) zwanego Barszczowem. Po jej śmierci granie majowe jest bez funduszu, a trąbacz sami wybierają placę dla siebie od uboższych obywateli parafii. Granie z wieży podczas oktawy Bożego Ciała jest opłacane procentem (zł. 30) od summy 600 zł., ulokowanej (na domu pod l. 561/379) w r. 1809 przez s. p. Jacka Krzyżanowskiego. Grywanie kilkakrotnie dziennie z wieży maryackiej na święto poświęcenia kościoła (11 lipca) i w całą oktawę Wniebowzięcia N. M. Panny (15 sierpnia) opłaca archiprezbiter z ogólnych funduszy kościelnych. Przed ogródcem przy kościele św. Barbary grywają podczas mszy. W Zwierzynie trąbią w nocy o 12ej w wigilię Bożego Narodzenia, ogłaszając mszę pasterską.

Młodość, uczucie, wiek dojrzały.

(Do.....)

(Dokończenie.)

Uczucie że z Boga płynie, że z niego powstało, musi mieć Boże piętno, Boską cudowność. Jakżebyśmy je pojąć mogli i zrozumieć, kiedy bytu jego nie pojmujemy inaczej, nie domyślimy się pierwój, aż się przejawia w formie zewnętrznej, w osłonie jakiejś ziemskiej?

Wielorakie jest uczucie, to znaczy: wiele jest jego odmian, gatunków, rodzajów? Uczucie jest jedno tylko,

(Dodatek do Nru 84 Tyg. Ilustr.)

jedno ma nazwanie. Różne jego odmiany powstają tylko ze złączenia i stosunkowania się jego z popędami świata. Uczucie więc, powtarzam, jest jedno. Jednostkowość jest przymiotem Boga, cechą dzieł wszechmocy. Wszędzie potęga jego jedną siłą się mianuje i wyraża. Nie potrzebuje on sztucznego złączenia kilku czynników, aby wywołać skutek zamierzony; jedna siła wszędzie daje ruch światu, jedna daje mu piękno i życie, jedna włada w duszy człowieka, całą ludzkość prowadzi i przenika.

Wszczęświat materyalny rządzi, porusza i wszystko w nim sprawia siła niewidzialna, będąca jakby technieniem uczucia w tworzywie (materyi). Wszczęświat roślinny i zwierzęcy kieruje i urządza siła organiczna, będąca niby duchem tworzywa, przypomnieniem uczucia. W człowieku znowu i w ludzkości całe życie, całe życie budzi i rozwija siła uczucia, będąca znamię głównym i jedynym wyrazem ducha.

Uczuciem tym jedynym a wszechmocnym, potężnym a rokosznym, jest: miłość. W niej i przez nią wszystko się dzieje na świecie, od początku stworzenia z miłości wszechtego, aż do ostatniego z czynów ducha ludzkiego.

Że zaś to uczucie nie zawsze jest pojęte w całej cudownej swjej wzniosłości, nie zawsze bywa zastosowane w całej piękności niebiańskiego wdzięku, nie zawsze się objawia w świętym płomieniu Boskiego piękna, dlatego nieraz nam się zdaje, jakby czyn jaki inny miał początek. Wreszcie uczucie, wyłączny przymiot ducha, miesza się i wikał rozmaicie z namietnością, z żądzą, z tą wyłączną władzą ciała, ziemi. Dlatego nieraz nie dopatrujemy w jego przejawach Boskiego piękna.

Morderca zabija niewinne ofiary chciwości swojej, wydiera ostatni grosz nędzy i niesie go na utrzymanie, na wykarmienie rodziny swojej. Zdaje się że ta zbrodnia nie ma z miłością żadnego stosunku, a jednak on ją w imię miłości popełnia. Tylko tu z miłości starto wszelkie piętno nieba, odebrano jej całą piękność, zagładzono jej ślady. Z razu prawdziwe uczucie pobudziło do starań i zabiegów o byt rodziny; przeszkody i trudności, zwierzęcym szaleem podbudzone, sprawiły odmęt w sądzie i poprowadziły do zbrodni; ale już samo dokonanie zbrodni pokazało przewagę ciała nad duchem, a długie w niej przyzwyczajenie wytrawiło wszelką zacność, i pozostał człowiek-zwierzę, z całą oburzającą szpetnością poniznia swego.

Tak wilczyca rzuca drgające członki rozszarpanego jagnięcia na pastwę swoim szczeniutom. I w niej instynkt zachowawczy niekiedy jakby miłością się objawia; ale ona lubi swe dzieci, póki ono sił nie nabierze; potem wyrzeka się go i uparcie walczy o podział zdobyczy, gotowa je zadusić, by wydrzeć mu kość pochwyconą. Tak i zbrodzień, zagrożony trwogą czy niepokojem o siebie, zamorduje własne dziecko, aby siebie ocalić. Bo nawet w pieczętach z dziećmi, w tym najśłodszym wylaniu uczucia najwolniejszego od wszelkich względów samolubnych, w zbrodniarzu przemaga żądza dogodzenia sobie — nie uczucie, nie poświęcenie, będące główną jego cechą. On w dziecku szuka współnika, widzi pomoc ułatwiającą zbrodnię, a nie najśłodszą pociechę, dla której wszystko i siebie oddać najmiliej.

Mówiliśmy wyżej że uczucie musi mieć formy, aby się przejawiać i niejako uwidomić mogło. Obaczmy to w przykładzie. Ściskam i całuję z uniesieniem nogi drogiej matki, witam ją łzami radości i rozrzewnienia. Cóż mnie do tego prowadzi? Miłość. Co cześć moją dla niej wzmagą? Miłość. — Miłość, i zawsze miłość! Ona więc jest powodem obudzającym te czynności, z których domyślamy się uczucia.

Weźmy teraz przykład przeciwny. Człowiek zepsuty całuje i pieści kobietę dla powierzchownych jej wdzięków i sam wmawia w siebie miłość, rozognia ją wyobraźnią, wzmagą złudzeniem, uczucia porównaniem, powtarza piękne uniesienia poetów i marzycieli, co duszą z duszy kochanki brali porywy rokoszy niebiańskiej, niebiańskiego szczęścia ucznionego w duchu, i stosuje to wszystko do owej kapłanki ziemskiego szalu.

Ale nie będzie to miłość, tylko namietność, zwierzęcość. Jedna zmarszczka na tej mu lubej twarzy, kilka dółków ospy, jakiś usterk fizyczny — a znikną jego uniesienia i miasto pieczętów jakimi obsypywał tę niby kochankę swoją, odwróci się od niej ze wstrętem, bo on nie cenił i nie cenil jej ducha, tylko tę sukienkę ziemską, barwistą a przemianą, co ducha osłaniała.

Lecz kto z niezepsutym sercem, z nieskalanym duchem, za młodu umiał uciechom ziemskim właściwie dać miejsce, potrafił je ocenić wedle ich wartości i potrzeby, nie utopił w nich wyższych, szlachetniej-

szych wzruszeń, kto umiał kochać nie dla siebie, nie dla zaspokojenia własnych uniesień, ale w tej miłości szukał środków do zapewnienia szczęścia czy drogiej mu osób, czy rodaków, czy ludzkości; ten prawdziwym uczuciem zagorzał, ten Bożą miłość pojął i odgadł: i życie jego zaświeci w poświęceniu, w zaparcu się siebie, w pracy nad szczęściem i zbawieniem tych, których niezmierną miłością ukochał.

Człowiek takiego uczucia pełen, czy w skutek większego rozrostu duchowych uciech, czy w skutek samego przyzwyczajenia do piękna idealnego, już nie może w rokoszach niskich utonąć. Na niego zewnętrzny powab oddziaływa o tyle, o ile umie podpatrzeć i odgadnąć w nim cuda z poza świata na pociechę ludzi sprowadzone. Uczucia jego mogą nie mieć szalu namietnego, zawrotnego, ale mają ogień gorący, czystej miłości, i jak wszystko co od tronu Wszczęmonego płynie, tak i jego uczucie, wykwitając ze czci i uwielbienia, jest stałe, niezłomne, nie zna żadnej odmiany. On umie czytać w oku, odgadnąć z twarzy niebo w duszy zamknięte, i wtedy najgorętszą miłością zlewa duszę swoją z duszą kochanki. Już on inaczej kochać nie umie, nie może. Już w nim ze zdumieniem postrzeżesz, że wiek nie studzi uniesień, nie wyniszcza zapału. On, jak owa dziewica przejęta skromnością i niewinnością, przechowa na zawsze swoje szlachetne uniesienia i nieskalane poniesie przed tron Boga, aby się tam złąży ze wszechmiłością płynącą od tronu Jego, z owem nieprzebranym źródłem anielskiego szczęścia, jakiego tu ani pojąć, ani zrozumieć nie zdołamy, jakiego zaledwie w chwilach rokosznego uniesienia domyślać się może duch świętej miłości technieniem wykarmiony.

I niedziw, bo on cześć dla kobiety koniecznością widzi, on się z nią zrósł, zespolił, i nie już nie jest w stanie wyrwać mu z serca tego szczytnego pojęcia, jakie w sobie wyrobił o kobiecie. On tak długo zachwycał się swoim aniołem, on wszystko szczęście swoje złożył w tej istocie, którą Bóg w nieograniczonej swjej miłości dał człowiekowi na uzupełnienie szczęścia.

I zamknął Stwórca szereg swych stworzeń najpiękniejszym z nich i najdoskonalszym. I stał się mąż, uczuciem piękny, rozumem i wolą potężny. I znowu, na uzupełnienie męża, utworzył wyższą doskonałość, zawartą w piękniejszych formach, w delikatniejszej sukience i całkiem ją duchem przeniknął i serce jej przepełnił najświętszymi uczuciami, najcudniejszymi pojęciami; a ozdobił ją skromnością i niewinnością, jakby kwiatami słodkich technień, zrodzonymi z miłości i świętości. I stała się kobieta, towarzysza dana mężowi, gorejąca miłością, poświęceniem, porywająca pokorą, uległością, wytrwaniem. Słodka, delikatna, nieśmiała, jak wonny fiołek tuli się pod zasłonę obcą, szuka sobie opieki i w tej pozorniej słabości, w tym dziwnym połączeniu poświęcenia siebie i opierania się na ulubionym, przybywa jej jeszcze jeden wdzięk na pomnożenie miłości męża.

O! poprzestańcie, wy cudowne i delikatne kwiateczki, zdobne Bożą krasą, na tej niebiańskiej swjej piękności, nie usiłujcie w świat się przewleciłać, mężkiem życiem kazić tę pierwotną anielską czystość. Waszém powołaniem nie naśladować, nie przedrzeźniać zajęcia i wady mężczyzny, ale ich wznosić do siebie, ale uczyniać ich uczucia, wyszlachetniać chęci. Bądźcie im aniołami opiekuńczymi, a cnota i miłość rozpowszechnią się po świecie. Świećcie im jak gwiazdy przewodnicze, czystym blaskiem promieni anielskich. Jaśnijcie cnotami do jakich was Bóg przeznaczył, gdy szczęście świata wam powierzał, gdy serca i dusze nasze wam w zarząd przekazywał. Nie zstępujcie z najwyższej godności jaką z woli Boga piastujecie, z dostojenstwa matek ludzkości; — a pomnoży się liczba zacnych obywateli, najlepszych mężów, najszlachetniejszych ojców, najpełniejszych poświęcenia synów.

Sławne są w świecie piękne Polki nasze. Czy myślicie że ich piękność stanowią regularniejsze rysy, prawidłowsze kształty. O nie! Całym ich wdziękiem jest ów urok dziewictwa, owa świętość niewinności, co się rumieni na twarzyczce zachwycającej skromnością.

Jest to owa barwa, palcem Bożym na ponętym licu namalowana, której żadna myśl zalotna nie zamąciła, żadna emancypacyjna skaza nie dotknęła. Jest to owo serce, piękne, czułe, pocziwe, pełne miłości i poświęcenia, na uroczej twarzy wypisane. Jest to owa dusza wszystkimi cnotami rozpiękniona, która przegląda przez wejrzenie jasnego oka. Jest to — coś, co duszę do nieba unosi, cocię porywa, czaruje, a czego ani słowami wypowiedzieć, ani myślą określić nie umiesz; coś co cię w zachwycenie wprawia, gdy w te śliczne oczki patrzysz, gdy przed tą dziecinnej prostotą

ty twarzyczką stoisz nieprzytomny, a szczęśliwy, ucieśniony.

Ala wracam do dalszego ciągu mego założenia. Mówiłem o rozwoju uczucia w latach dojrzałych. Że ono objawia się wtedy w sposób jaki przedstawiłem, na dowód weźmiemy raz jeszcze uniesienia kochającego poety, który rzekł: tu umarł Gustaw, a narodził się Konrad. Tu już niema owej namiętnej burzy, co przeskody za winy i wady kochanki liczyła. On zawsze ją czei i nigdy, nawet w nieszczęściu, nie złorzeczy, lecz woła z uczuciem gorącym:

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów i dnia cząstka i owa godzina,
I chwila i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczuciami natchnęła, choć ich nie podziela.

A już to pisał nasz wieszcz w wieku dojrzałym, w wieku gdy wyraźnie wpływy ziemi osłabły przy rozwoju świętości nieba. Albo dalej:

I widzę moje dołę, czuję udręczenie
I ból mię przekonywa, że to nie złudzenie.
O! wtedy tak mi straszno, tak bardzo boleśnie,
Tak ponuro mi w duszy zabrzmią śmierci pieśni.
Że już za życia znam co piekła męki.
Nie moja droga! daruj! przyjmij podzięk!
To nie piekła cierpienia, bo w szczęściu poczęte,
Bo z ciebie one płyną, twą godnością święte.
Więc choć nieraz przecierpię, nieraz się zasmucę,
Błogosławie mą miłość, z losem się nie kłócę,
I ciebie błogosławie, o słodka kochanko!
Coś dla wielu kobietą, a dla mnie niebanką.
Błogosławione chwile przy tobie pędzone,
Czyto w szczęściu ubiegłe, czy w łzach przerojone;
Za szczęście jak za bóle błogosławie tobie,
Bo kochając, przez ciebie, niebo noszę w sobie.

Przeszkody, zawody, cierpienia nie oburzają, ale podnoszą rzewność uczucia, słodyczą niepojętą przepełniając serce złołale żalem, tęsknotą, beznadzieją.

To miłość lat dojrzałych, wykołysana uczuciem anielskiej dostojności pełnem. Ten co ją piastuje, długiem przyzwyczajeniem, złaniem się z doskonałością, oczyszczył się i wypiękniał. Ta miłość nie jest w nim złudzeniem przelotnem, urojeniem marzenia, ale wykwiata z pełni uwielenia i czei. Stała się ona jego wiarą, niezbędnym warunkiem radości i wesela na ziemi. Świat uraga jego uniesieniom, śmieje się z jego zapału, zwie je gorączkowem marzeniem; a on lituje się nad temi zimnymi serc objawami i błaga Boga, aby ich serca promieniem swęj łaski rozświetlił, ogniem od tronu swego promieniającym zapalił i uzacnił.

Oto jeszcze jeden z tysiąca względów w zapatrywaniu się na uczucie.

Na tém kończę moje pisanie, sądząc żem się jako tako wywiązał z włożonego na mnie zadania. Daruj, jeśli chęci były wyższe od zdolności, bo i naprawdę trudno czémś zmierzyć, z czém porównać chęć stania się tobie przyjemnym i miłym.

K. Kl.

PASOŻYT.

Gdy lesną zieloność rozwinie czar wiosny,
Woń kwiatów rozniesie dokoła,
Na bujnych koronach i lipy i sosny,
Powstaje im obca jemiola.

Próżniacza przybłęda,—te soki co z ziemi
Drzew korzeń wyciąga z mozołem,
Odpija bez trudu ustami chciwemi,
Bezwstydu zieleni się czolem.

Poważny starodrzew zaszumił od gniewu,
Że obcy plód lica mu kazi;
A marny pasażer uraga się drzewu
I bujnie się po nim rozłazi.

I coraz to więcej krzew lichęj natury
Rozszerza na drzewach swe plemię,
Aż przyjdzie raz wichur i straci je z góry
I rzuci z pogardą o ziemię.

Niestety! na barkach ludności społecznej
Pasażer tak samo wyrasta...
Jak plaga egipska, wrzód podły i wieczny,
Plugawi on sioła i miasta.

Na mitrach rdza jego, na tarczy, zagonie,
Na haftach, kapturach, siermiędze;

Pasożyt człowieczy ma piekło w swém łonie,
A w sercu zwątpienie i nędzę.

A jego imiona: próżniactwo, rozpusta,
Przedajność, obłuda, ciemnota.
On pije krew bratnią co pali mu usta,
On w marnę bezmyśli się miota.

Nie dojrzyś w nim uczuć, ni dobrej czei śladów,
Duch jego złamany żądz mnóstwem;
Zmarnował swe mienie, trud ojców i dziadów,
Lub cudze przywłaszczył oszustwem.

Ów leśny pasażer użytek da w lato,
Bo słodka jagoda jemioli
Wyżywi jemioluch rodzinę skrzydlatą
I szare nakarmi kwiczoły.

Pasożyt ludzkości nie zrodzi pożytku,
Owoce krwi jego:—trucizny,
Zaraza pokoleń,—szał chuci i zbytku
I popiół przy sercu ojczyzny.

Lecz wielki duch boży wlał w umysł narodu
Objęcie, rozwałę, cześć cnoty,
I mrowie ludności bojuje od młodu,
Z żądz rojem, z emą grzechu sromoty.

A instynkt dobrego tkwi w massie tej licznęj,
Przy prostém swych celów pocuciu,
Co wiedzie nikczemnych pod przegierz publiczny,
Ku hańbie i wzgardy opluciu.

Nie ekliwość świętoszków, obłudy szalbierka,
Lat przyszytych odbiorą podziękę;
Bo stli się gaz fałszu i przebrzmi usterka,
I prawda nas weźmie za rękę.

Ję światło i słowo, wcielone w czyn boży,
Z żywota wyleją się stoku,
A wonezas kwiat ziemi swój kielich otworzy
I w całym zabłyśnie uroku.

I czyste tam ziarno zostanie na polu,
Serc złoto wytrzyma żar próby...
Gdy każdy swe zboże oczyści z kłokolu,
Gdy zgnie w śmieciisku chwast gruby.

Z drzew życia prąd czasu jemiolę postrąca
I ciśnie za góry i rzeki,
I zginie pasażer, jak mara trapiąca,
Przeklęty przez wieki—na wieki!

Edmund Znatowicz.

NA PLACÓWCE.

WSPOMNIENIE ŻOŁNIERSKIE.

PRZEZ

T. T. Jeża.

Oblegaliśmy A.... Którego to było roku, którego miesiąca i dnia, tego nie powiem czytelnikowi, z powodu że nie chcę ściagnąć na siebie za daty odpowiedzialności przed krytyką, lubiącą w daty wglądać i za drobne uchybienia wielkie robić hałasy. Byłem z nią dotychczas w dobrych stosunkach: chcę tak i nadal pozostać.

I dlatego nie powiem ani kiedy, ani gdzie miało miejsce owo oblężenie. Dość że miało miejsce, a forteca, od pierwszej litery alfabetu, nazywała się A....

Sekret z miejsca i czasu, jaki robię przed czytelnikiem, jest dla mnie arcydogodnym, pozwala mi bowiem rozpisnąć się o rzeczach, które gdzieindziej już są napisane, a mianowicie w geografii i historii.

Gdybym wymienił A..., to każdy wiedziałby natychmiast w jakim leży kraju, nad jaką rzeką, w jakie miejsce zdarzenia historyczne było wplątane, i ja musiałbym się pilnować, żeby się nie omylić, żeby czego nie dodać albo nie ująć. A tak swobodniejsze mam ruchy: mogę pióru dać wolę, niech hula, niech pisze, niech jednem słowem tworzy.

Owóz A... jest to mała ale silna twierdza, położona na równinie, nad rzeką, bastyonowana, opasana szerołkami rowami i wysokimi wałami, mająca pomurowane skarpy i kontrskarpy, posiadająca kazamaty, których dachy sześciokątowym bombom opór stawiać są w stanie, zaopatrzona w magazyny, w dostateczną ilość strzelnicowych i ławowych baterij, we wszyst-

ko słowem, co do długiej i uporeczywej obrony służyć może i powinno.

Rzeka przedziela ją od miasta, nazywającego się także A..., względem którego jest ona niejako cytadela, nie w tym jednakże sensie że je broni, lecz że jest dla niego groźną. Twierdza A... z rzeki jest w stanie miasto A... zasypać w każdej chwili bombami i granatami i jeżeli nie w perzynę od razu obrócić, to zawsze mocno je uszkodzić. Miasto samo przez się bronić się nie może.

My zajmowaliśmy miasto, nieprzyjacieli twierdzę. My byliśmy oblężeni, nieprzyjacieli oblężonym.

Można sobie wyobrazić, jak z samego powodu naszej obecności, miało się miasto A... Połowa domów leżała w gruzach. Mieszkańcy wynieśli się na odległe przedmieścia. Z każdego cało jeszcze stojącego domu wyglądała pustka. Po ulicach krążyli żołnierze i kiedy niekiedy przenosiły się kule, a gwar miejski zamienionym był przez łoskot bębnow i huk pękających pocisków. Byliśmy więc istotnymi panami miasta, bo nietylko trzymaliśmy je wojennie, ale wszystkie domy na nasze rozporządzenie pozostawionymi były. Mogliśmy mieszkac, jak puszczyki, w ruinach, lub jak szczury, w podziemiach, i wyznac należy, zdarzali się pomiędzy nami tacy, co po dziurach i kątach schronienia szukali. Wyznac jednakże i to należy, że takich było niewielu. W szeregach naszych procent na tchórzów odpadający, był zawsze bardzo umiarkowanym.

Położenie miasta i twierdzy względem rzeki było takim, że ani jedno, ani druga do jej brzegów nie dopięrały.

Rzeka płynęła po równinie i podlegała wiosennym wylewom. Z tego powodu miasto A... odsunęło się od niej na kilkadziesiąt sążni i wzdłuż wybrzeża wyręło fosę. Twierdza nie potrzebowała w ten sposób się ochraniać, bo same jej rowy dostateczną były przeciwko wodzie obroną, a przytęm grunt na którym leżała był nieco podniesiony, panował nad brzegiem przeciwnym i nie dopuszczał wodzie dostać się do wnętrza fortyfikacji.

W ogólności, mówiąc o twierdzy A..., powiedzieć należy, że jest ona jedną z mocniejszych w Europie. Do bronienia jej dostatecznym jest czterech-tysięczny garnizon, a do zdobywania potrzeba dokładać wszelkich usilności i używać wszystkich sposobów oblężniczej sztuki. O tém przekonał nas szturm, który do niej w grudniu przypuściliśmy. Szczęście pogarnęliśmy się do rowów i zostaliśmy odparci. Szczerość nasza rozbiła się o straszne okopy i rzesisty ogień, którym nas z za wałów przywitano.

O! ten ogień!... nigdy go nie zapomnę; był to bowiem dla mnie pierwszy, jakiego w życiu doznałem, była to pierwsza próba, od której zależało: czy go dzień jestem być żołnierzem, czy niegodzien. Próba ta wypadła nie najgorzej. Po niej próbowałem się jeszcze w kilkunastu bitwach i do takiej w końcu doszedłem doskonałości, że już mi wszystko było jedno, zginąć lub nie zginąć. Pospieszam jednakże dodać, że ta doskonałość nie była odwagą, lecz zobojętnieniem, jakie pod koniec kampanii w każdym żołnierzu się wyrabia.

W początkach jednakże oblężenia A..., chwila zobojętnienia była jeszcze daleką, jeszcze w sercu kipiło. Pierwsza próba wypadła pomyślnie, pomimo że zmuszeni byliśmy odstąpić, albo dobitniejszemu wyrażając się słowem, uciec, odęgnani ołowianym gradem. Byliśmy już w rowie otaczającym twierdzę, i z rowu po drabinach darliśmy się na wał, kiedy osypały nas kule i bagnety nam na piersiach niemal się oparły. Na kule kulami, na bagnety bagnetami nie można było odpowiedzieć, a to z powodu położenia, które zatrudniało nam ręce trzymaniem się za szczeble odpychanych przez nieprzyjaciela drabin. Więc, niby gruszki z drzewa, spadałyśmy z wałów do rowu, w którym ciągle grzmiało:

—Hura!... naprzód!...

Noc (było to bowiem w nocy) nie dozwalała nieprzyjacielowi znacznej nam sprawiać szkody. Ginęli nasi, nie ginęło ich jednakże tyle, ileby po dniu zginąć mogło. Wyrzwały grzmiały nam nad głowami, tak zbliżka, że kopeły nam twarze i osmalaly wąsy, kule świstały, ale niezbyt raziły. Szamotanie się nasze, dla dostania się koniecznie na wał, trwało z pół godziny, poczem, gdy przekonaliśmy się że usiłowania nasze są daremne, nastąpił odwrót.

Do dziś dnia, a już to temu dość dawno, tak dawno, że nie jeden ze słusznych dziś czytelników, wówczas koszulkę jeszcze w zębach nosił, — do dziś dnia nie mogę sobie wytłumaczyć, jakim sposobem wydo- byłem się z rowu. Wiem że rów był głęboki; wiem że na dno zlałem po drabinie; wiem że podmurowanie było gładkie i tak wysokie, iż ręką do brzegu

rowu dostać nie mogłem; i to wiem że się wydobyl bez drabiny, której już nie było; ale czy kto mię podsadził? czy też sam wyskoczyłem? tego sobie nigdy nie wytłumaczę. To zaliczyć można do kategorii cudów, do rodzaju owych nadzwyczajnych zdarzeń, jakie przytrafiają się ludziom niekiedy, ratując ich w wielkich niebezpieczeństwach.

Niepomysłny szturm przekonał naszych wodzów, że dla zdobycia A.... potrzeba je albo formalnie obledz i wziąć się do oblężniczych robót, albo też blokować i głodem zmusić twierdzę do poddania.

Z powodu braku koniecznych do prowadzenia oblężniczych robót warunków, wodzowie nasi wybrali drugi sposób, dłuższy, gdyż twierdza zaopatrzona była dostatecznie w żywność, ale pewniejszy, chociaż wielce nudny.

Natychmiast po szturmie nocnym, po nieudanej próbie podchwycenia A.... rozpoczęła się blokada. Rozstawiono wojska dokoła twierdzy; otoczono ją łańcuchem posterunków; na przedłużeniach jej linii obronnych posypano baterie, na których ustawiono najcięższego kalibru działa i moździerze, i przecięto wszelką komunikację ze wszelkimi tak w ludziach, jak w żywności i amunicji posiłkami, jakie do twierdzy dostać się mogły z zewnątrz.

Blokada twierdzy jest jedną z najnudniejszych operacji wojennych. Co dnia jedno i to samo się powtarza. Ściągają i zaciągają warty, i znów je ściągają i zaciągają. Z razu to bawi, lecz z czasem przychodzi jakiś niesmak, na który nawet wycieczki nieprzyjaciela niewiele pomagają.

Żeby niewojennym ludziom, a mianowicie pięknym czytelnikom, dać jakoweś o mechanizmie blokady wyobrażenie, proszę wystawić sobie kółko, otoczone trzema innymi kółkami, mającymi ze środkowym wspólnie centrum. Środkowe, niech nam przedstawia twierdzę; — to to, które jest najbliższe środkowego, będzie przedstawiało łańcuch czat, złożonych z pojedynczych żołnierzy, ustawionych w takiej jeden od drugiego odległości, aby jeden drugiego mógł widzieć i słyszeć, a zarazem, aby każdy z nich mógł widzieć wszystko, co się na całej przestrzeni pomiędzy jego stanowiskiem a twierdzą dzieje. Żołnierze ci nazywają się wedetami. Za łańcuchem wedet, na drugim kółku, ciągnie się drugi łańcuch posterunków, zwanych placówkami. Z tych każda składa się z kilku lub kilkunastu żołnierzy, a jej przeznaczeniem jest zmniejszenie wedet i powstrzymanie pierwszego zapędu nieprzyjaciela, gdyby ten chciał się przedrzeć przez straż. Stoją one w zakrytych miejscach w takiej od siebie odległości, że się ani widzą, ani słyszą, ani też wiedzą jedna o drugiej. Cała ich baczność zwróconą jest na wedety, w których utrzymują czujność i od których wyglądają znaku, mającego je ostrzedz o niebezpieczeństwie. Gdy na łańcuchu wedet padnie strzał, placówki natychmiast stają pod bronią i oświadczają się o powodzie strzału, a skutkiem tego oświadczenia, albo uderzają na zuchwalca, co słabym oddziałem śmiało je zaalarmować, i odpędzają go, albo też przekonują się że nie mu nie poradzą, i cofają się na główne warty, z francuzką grangardami zwane, które stanowią trzecie kółko, najwewnętrzniejsze i największe. Po za tym już kołem, wojsko bądź obozuje, bądź leży.

Owóż tedy, według tej normy, i my blokowaliśmy twierdzę A.... Według tej normy powiadam, o tyle jednakże, o ile na położenie gruntu pozwalało. Nie mogliśmy regularnymi kółkami wedet, placówek i grangard otoczyć twierdzy, dlatego że rzeka nam przeszkadzała. Przeskakiwaliśmy więc rzekę łańcuchami posterunków naszych w dwóch punktach, powyżej i poniżej A...., w jednym z nich urządziwszy sobie dla komunikacji most na łyżwach. Był most murowany, który wprost z twierdzy do miasta prowadził, ale ten został przez nieprzyjaciela zniszczonym.

Koła naszych posterunków wyregulowały się nieco, gdy około połowy grudnia rzeka zamarała.

Przed zamrażaniem rzeki, baterie nasze na lewym jej brzegu ustawione, obezpieczonemi były od nieprzyjacielskich wycieczek. Po zamrażeniu jednakże, położenie ich stało się najniebezpieczniejszym, a to z tej przyczyny, że bliżej jak inne od twierdzy się znajdowały. Dla bliskości miasta, nie można ich było cofnąć, tém bardziej, że okazały się one nader skutecznymi. Trzeba więc było doglądać ich i pilnować, jak oka w głowie, zwłaszcza w nocy.

Gdy przeto rzeka lodem się ścięła, na lewym jej brzegu czujność z naszej strony została zwiększoną. Rozdzielała się ona na dwa rodzaje: dzienną i nocną. We dnie wedety stały na wysokości baterji, za nimi placówki; dalej grangardy, a jeszcze dalej, w środkowym punkcie, z którego można było na każdy punkt zagrożony prędką nieść pomoc, znajdowała się silna

rezerwa. W nocy wedety posuwały się nad sam brzeg rzeki, na ich miejsca wchodziły placówki, na miejsca placówek grangardy, a rezerwa pozostawała na swoim stanowisku, silnemi rontami i częstemi patrolami utrzymując w ciągłym natężeniu czujność i baczność posterunków.

Grangardy, z powodu że za nimi stała rezerwa, były słabszemi jak zwykle bywają, za to gęściej je rozstawiano. Niektóre z nich nie wysyłały placówek, lecz wprost wedety, i w takim razie stawały w pobliżu baterji, w jakimś rozwalonym lub w półrozwalonym budynku, w którym, jeżeli można było ukryć przed nieprzyjacielem blask płomienia, to rozkładano ogień, jeżeli zaś nie można było, to obchodzono się bez ognia. Były to silne placówki, zdolne do wytrzymania walki z przeważnym nieprzyjacielem i utrzymania jej aż do przybycia posiłków z ułokowanych w mieście a gotowych każdej chwili do wystąpienia rezerw.

Na jedną z takich placówek, pewnej styczniowej mroźnej a jasnej gwiazdami i śniegiem nocy, znajdował się autor niniejszych wspomnień. Był on jednym z trzydziestu kilku żołnierzy od piechoty i w randze kaprała dowodził drugą sekcją pierwszej kompanii, w zastępstwie podoficera, który w szpitalu goił rany. Sekcja jego stanowiła drugą połowę ogólnej liczby żołnierzy na placówce obecnych. Pierwszą połowę stanowiła pierwsza sekcja, dowodzona, także w zastępstwie, przez kaprała. Obie sekcje formowały pół-pluton piechoty, przy którym, jako dowódca, znajdował się był powinien podporucznik, lecz że brakło nam oficerów, przeto miejsce podporucznika zastępował podoficer.

Nie pamiętam już dziś wielu żołnierzy wysyłałymi na wedety; pamiętam tylko jak oni stali. Łańcuch nasz zaczynał się przy jakimś drzewie, które szronem okryte, nad samym brzegiem niby szkielet sterzało, po wydeptanej w śniegu ścieżce ciągnął się wzdłuż brzegu i kończył się przy zniszczonym moście. Ostatni nasz sztyldwach stał na ruinie mostu. Łańcuch ten zasłaniał sobą o kilkadziesiąt kroków za nim wznoszącą się, a z worów piaskiem nasypanych wzniesioną baterją, której także dwóch — jeden od piechoty i jeden od artylerji — pilnowało sztyldwachów, a za baterją, w bok nieco, w odległości około pięćdziesięciu kroków, stał w półruinowany przedmiejski domek, w którym było stanowisko placówki.

Jak ten domek ocalał, to można do cudów policzyć. Był bowiem drewniany i dostał niejedną postrzał. Gontowy dach zwałił się, ściana jedna upadła; pozostały jednakże sienie i parę izb, z których w jednej znajdował się obszerny komin, a na tym kominie można było bezpiecznie ognisko naniecić.

Co to za wielkie dla żołnierza ma znaczenie, przepędzać noc pod dachem i przy ognisku, o tém wie każdy, kto był żołnierzem. Nad nami wprowadzie dachu nie było, lecz był sufit, ściany i komin, i pod dostatkiem drzewa, przez zruinowaną część domu dostarczanego. Gonty, łąty, krokwie, belki, słupy, odzwierki, drzwi, jakieś szczątki ram i mebli służyły do podsywania ogniska, które nas oświecało i ogrzewało.

Roskoszowaliśmy. A na dworze było mroźno i zimno. Na otwartem powietrzu mróz oczy zlepił, w twarz kasał i na wskrós ciało przejmował. Iskrzyło się i na niebie i na ziemi; na niebie gwiazdami, na ziemi śnieżnemi kryształami. Było cicho, tylko od czasu do czasu rozlegały się okrzyki obwołujących się straży, tak naszych jak nieprzyjacielskich, i brzmiały donośnie wzmrażającym powietrzu; tylko, wsłuchawszy się dobrze, można było dosłyszeć stapania sztyldwachów, rozgrzewających się chodzeniem.

Sztyldwachom godziny nadzwyczajnie długimi się wydawały. Ich bo los nie był zazdrości godnym. Mundy i lekkie płaszcze nie były dostateczną od mrozu ochroną, a jeżeli ich co grzało, to jedynie młodość i ochota.

Młodość i ochota, powiadam, o! bo wszyscy byliśmy młodzi i ochoczy. Ja byłem jednym ze starszych wiekiem, a nie liczyłem wówczas więcej nad dwadzieścia trzy lat, a znajdowali się pomiędzy nami i tacy, co zaledwie siedemnastu się doliczali.

Zajęliśmy placówkę o południu na całych dwadzieścia cztery godzin. Za dnia rozstawiliśmy wedety dalej od twierdzy, a gdy noc zapadła, otrzymawszy z głównej warty hasło i odzew, posunęliśmy nasz łańcuch nad sam brzeg rzeki, wzmocniliśmy go i rozpoczęliśmy gestę patrolowanie.

Na mnie wypadła kolej prowadzić pierwszy nocny patrol. Na czele czterech żołnierzy udałem się najprzód do baterji, a od baterji do drzewa, i szedłem powoli wybrzeżem, zatrzymywany co trzydzieści kroków przez okrzyk:

— Stój!... kto idzie?...

Mieliśmy zwyczaj okrzykiwać się głośno i dobitnie, dla okazania sztyldwachującemu nieopodal na okopach nieprzyjacielowi, że go się nie boimy. Każdą więc nasze „stój! kto idzie?“ grzmiało donośnie i po każdym prawie ta nas spotykała satysfakcja, że dochodziły nas z twierdzy kłatwy i pogroźki, na które odpowiadaliśmy kpinami.

— Poczekał ty!... wolano n. p. Nie będziesz tak gardłował, gdy ci kulą pysk zatkam...

— Strzelaj!... odwoływano. Oto, otworzyłem pysk i mam ochotę twoje kule zębami złapać...

Zakazaniem było sztyldwachom wdawać się pod bronią w rozmowy; ale co to tego rodzaju zakazy w czasie wojny znaczą?... Zresztą nie można było karać żołnierzy za wesołość, zwłaszcza że ta wesołość podtrzymywała w nich ochotę, a ochota zastępowała im miejsce kożucha. Niejeden rad był, gdy jego kolej warty następowała, że mógł pogadać z nieprzyjacielem.

Prowadząc tedy patrol, dziwiłem się że nieprzyjaciel ani kłatw, ani pogroźek nam nie posyłał.

— Czy tam pospali się na wałach?... zauważył jeden z patrolujących żołnierzy.

Nie spano tam jednakże, widać bowiem było za okopami chodzące tam i nazad płomyki bagnetów, iskrzące się i polyskujące w promieniach gwiazd.

— Może oni przygotowują się do zrobienia nam jakiej niespodzianki... rzekł inny żołnierz.

W tej chwili dochodziliśmy do mostu i wstępowaaliśmy na poprzedzające go niewielkie gruntu podniesienie, przez które przechodziła nasza ścieżka. Ostatni sztyldwach huknął:

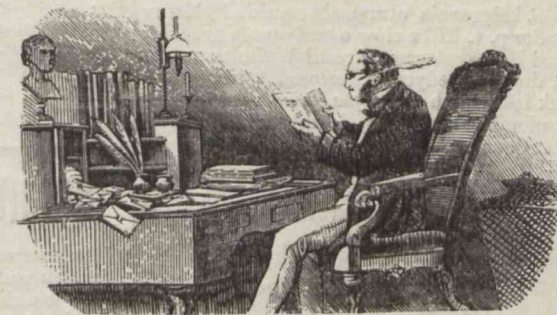
— Stój! kto idzie?...

Odpowiedziałem: patrol! ale wraz ze mną dwa inne jeszcze głosy odpowiedziały. Były to dwa działowe wystrzały. Zaledwie patrol wszedł na przedmostowe podniesienie i w skutek wołania sztyldwach zatrzymał się, na wałach błysnęło, huknęło i w uszach nam zaświstało, jakby nad głowami naszymi szybkim lotem stado szpaków się przeniosło.

— Patrol stój!... podoficer wystąpił... natychmiast po wystrzałach, nie a nie w akcencie ani w doniosłości niezmieniony, zagrział głos sztyldwach.

Wystąpiłem, zdałem odzew, dowiedziałem się że nie nie zaszło szczególnego, poleciłem czujność i odprowadziłem patrol na placówkę, którą zastałem pod bronią, gotową spieszyć na pierwszy z naszej strony znak trwogi. Zdałem komendantowi raport i naśmialiśmy się z nieprzyjaciela, któremu nie udało się złapać nas w zastawiony za dnia samotrask. Gdyby lepiej był działa na owo przedmostowe gruntu podniesienie zrychtował, byłby nas obsypał kartaczami i może kilku skaleczył lub zabił. A tak, najmniejszego nie ponieśliśmy szwanku i tylko mieliśmy okazją przekonać go, że żołnierzom naszym nie zamierają na huk wystrzału serca, ani im wyrazi w ustach więźną.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Od dwóch osób z miasta Ługi otrzymaliśmy rsr. 6 na kościół pp. Maryawitek w Częstochowie. Od K. M. z Bogoduchowa rsr. 2 na inny cel dobroczynny.

Od ziomków, oficerów kolywańskiego pułku z Kaługi, otrzymaliśmy 9 rsr. na pomnik ś. p. Bogusławskiego.

Szanowny autor zadania szachowego (*qui perd-gagne*) podanego do nagrody w Nr. 69 Tygodnika, zawiadomił nas, że ponieważ nikt dotąd ani w kraju, ani zagranicą nie nadesłał *dobrego* rozwiązania, przeto uważał za stosowne przedłużyć termin jeszcze na dwa miesiące, to jest do 4 czerwca r. b., na co my, stosownie do życzenia jego, chętnie się zgadzamy, w nadziei że przedłużenie terminu pobudzi naszych miłośników szachowych do podwojenia usiłowań, ażeby to rzeczywiście niezmiernie trudne zadanie rozwiązać. Nadzieja nasza tém bardziej zdaje się być uzasadnioną, że nadesłane przez p. F. Łab. w Warszawie rozwiązanie w 45 posunięciach (nie w 13, jak tego wymaga zadanie) aż do dziewiątego posunięcia zupełnie jest dobre. Mniemamy że przy wytrwałości, udać mu się powinno wykrycie i pięciu posunięć końcowych.

DONIESIENIA.

W księgarni i składzie nut muzycznych

G. GEBETHNERA I R. WOLFFA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, pałac hr. St. Potockiego Nr. 415, znajdują się książki Nabożeństwa Majowego:

Miesiąc Maryi, czyli rozmyślania na każdy dzień miesiąca. Cena rs. 1. — Miesiąc Maryi u stóp krzyża, przekład z francuskiego Seweryna Pruszkowej. Cena kop. 50. — Przykłady na każdy dzień miesiąca Maja. Cena kop. 15. Miesiąc Maj poświęcony Bogarodzicy i Niepokalaną Dziewicy Maryi, przez ks. J. Nowakowskiego. Cena kop. 45. — Miesiąc Maryi czyli miesiąc Maj, przez ks. K. Prokopa. Cena kop. 20.

W dalszym ciągu **Biblioteki Polskiej**, wychodzącej pod redakcją I. K. Turowskiego w Krakowie, nadeszły do głównej ekspedycji w powyższej księgarni, ostatnie zeszyty serii zeszłorocznej, zawierające: Niemcewicz J.U. — Dzieje panowania Zygmunta III. — Naruszewicz ks. A. — Historia narodu Polskiego. — Krasicki ks. J. — Pan Podstoli. Oraz pierwsze 16 zeszytów serii tegorocznej, zawierające: Bohomolec ks. F. — Życie Jerzego Ossolińskiego. — Dzieła Wawrzyńca Surowieckiego. — Staszic St. — Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego. — Przesiowski ks. — Krótka wiadomość o sejmach i sejmikach przedsejmowych w dawnej Polsce. Księgarnia ta uprasza przeto szanownych pp. prenumeratorów, aby po odbiorze dalszych zeszytów zgłosić się racyli. Prenumerata na rok bieżącej serii, wynosi za 60 ściąg arkuszywych zeszytów złp. 80, półrocznie złp. 40; z przesyłką na prowincję rocznie złp. 88. Prenumerować można we wszystkich księgarniach znaczniejszych i na prowincyi.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

otrzymała następujące nowe dzieła: O listach żelaznych czyli giejtowych, i o formie odwoływania się od wyroków i postanowień sądów karnych, napisał Konrad Machczyński. 8ka. Cena kop. 50. — Myśli o nauce obcych języków, z dodaniem krótkiej metody uczenia się praktycznego, spisał Maryan Chyliński. 8ka. Cena rs. 1 kop. 20. — Nauki matki dawane swym dzieciom o religii i obowiązkach z niej wypływających, przez hrabiego Flavigny, tłumaczyła Rozalja Zarzycka, 16ka. Cena kop. 45. — Zwięzła nauka przyrządzania ogni sztucznych, ułożył i wydał Fr. Pareński (z 7mią tablicami), 8ka. Cena kop. 45.

Taż księgarnia otrzymała na skład główny dziełko p. t. Kilka słów o medycynie greckiej przed Hipokratesem, skreślił Wilhelm Lubelski, doktor medycyny, członek towarzystwa nauk lekarskich w Paryżu, towarzystwa lekarzy niemieckich tamże, i innych. Warszawa 1861. Cena kop. 15.

Nakładem księgarni Polskiej

ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki.

Ulica Miodowa Nr. 482 (nowy 4),

wyszedł zeszyt I dzieła gospodarstwu wiejskiemu i przemysłowi poświęconego, pod tytułem

ROLNIK POLSKI.

Dzieło to obejmować w sobie będzie w dwóch tomach wszystko, co w obecnym czasie odpowiednio do dzisiejszego stanu nauki i postępu całego gospodarstwa wiejskiego, Rolnika naszego obchodzić może, a zaopatrzone zostanie w znaczną liczbę drzeworytów w tekście i rycin, które przedstawiać będą narzędzia rolnicze i cenniejsze rasy zwierząt domowych.

Rolnik Polski wychodzić będzie zeszytami najmniej sześć arkuszy druku in octavo obejmującymi. Cena zeszytu złp. 6 gr. 20. Dla płacących za dwa tomy (10 zeszytów) z góry, cena oznacza się na złp. 46 gr. 20. Osoby życzące mogą mieć ryciny kolorowe, za osobną zapłatą, która złp. 20 przechodzić nie będzie. Koszt przesyłki pocztą czynią złp. 6 gr. 20 od egzemplarza całego.

Nakładem tejsze sztycharni nut opościł prasę POLONEZ KOSCIUSZKOWSKI

„A kiedy odjeżdżasz bądźże zdrow.

O naszej przyjaźni dobrze mów.”

ułożony trudniejszym stylem na fortepian przez Andrzeja Kratzera. Cena egzemplarza ozdobionego portretem **Tadeusza Kosciuszki** złp. 1 gr. 10 (kop. 20). Tenże sam portret odbity na welinowym papierze, sprzedaje się oddzielnie po złp. 2 (kop. 30).

MARSZ

KSIECIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

ułożony na fortepian przez Józefa Sosnowskiego. Cena egzemplarza ozdobionego portretem **Księcia Józefa**, złp. 1 gr 10 (kop. 20). Tenże sam portret odbity na welinowym papierze, sprzedaje się oddzielnie po złp. 2 (kop. 30).

Powyższa księgarnia odebrała w tych dniach następujące nowości: Jadwiga i Jagiello, opowiadanie historyczne przez Karola Szajnochę, cena z prenumerą na wszystkie 4 tomy rs. 6 kop. 50. — Żywot Tomasza Zamojskiego, napisał Stanisław Żukowski; cena rs. 2 kop. 25. — Obraz gospodarstwa wiejskiego w Angli, Szkocji i Irlandji, przez Leoncjusza de Lawergne; cena rs. 1. — Początki mineralogji według układu Gustawa Rose, skreślił Ludwik Zeuschner, z 424 drzeworytami, cena rs. 3 kop. 50. — Historia Kościoła powszechnego, przez Księcia Melchiora Bulińskiego; cena rs. 1 kop. 50. — Hidraulika agronomiczna czyli nauka o użytkowaniu i urządzeniu wód w gospodarstwach rolnych, a mianowicie, przy wykonywaniu robót około osuszenia drenowania i nawodnienia gruntów i dołączeniem szczegółowych wiadomości dotyczących się wydobywania, przetwarzania i wypalania na węgiel torfów, napisał Józef Sporny; cena 2ch tomów z atlasem rs. 6; przy tej sposobności zwracamy uwagę czytającej publiczności, iż stajemy w tego rodzaju stosunkach z innemi wydawnictwami, iż każdą książkę polską ogłoszoną na sprzedaż przez inną księgarnię, naszą za tę samą cenę, dostarczyć obowiązujemy się, co jest wielką dla kupującego dogodnością, wszystko bowiem co sobie życzy na najdłuższym miejscu obstać może. Osoby na prowincyi zamieszkałe zapisujące w naszej księgarni dzieła za rs. 10 lub więcej, otrzymują takowe franco.

W tych dniach opuścił prasę w tymże zakładzie artystyczno-litograficznym zeszyt **Iszy malowniczego album Kijowa**.

z szczegółowym opisem miasta, przez Romana Raczyńskiego i Kamilla de Bellier, Historyka Kijowa od początku jego założenia aż do naszych czasów, napisana przez Juliana Bartoszewicza, powiększa wartość literacką tego ozdobnego albumu.

Zeszyt ten zawiera 1 kartę tytułową. 2 Herb miasta Kijowa (chromolitografowany). 3. Plan Kijowa z XIII wieku (1240). 4. Widok części starego miasta. 5. Widok części podolu. 6. Widok Kijowa od strony Dniepru. 7. Pomnik Sgo Włodzimierza na Kresczatyku. Cena zeszytu złp. 20 (rs. 3). Dla płacących prenumeratę z góry za całe dzieło (5 zeszytów) cena oznacza się na rs. 10. Osoby na prowincyi zamieszkałe płacą rs 1 (złp. 6 gr. 20) na koszt przesyłki pocztą. Skład główny w powyższej księgarni.

BIBLIOTEKA ROLNICZA.

Rozpoczynając wydawnictwo dzieł gospodarskich pod ogólnym tytułem **Biblioteka rolnicza**, winniśmy przedewszystkiem usprawiedliwić się przed czytelnikami, dla czego ten zamiar przedsięwzięliśmy. Usprawiedliwienie się nasze będzie krótkie, bo sądzimy że przedmiot sam za sobą przemawia; potrzeba książek popularnie traktujących najważniejsze kwestye gospodarskie, wzięta pod rozwagę na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem, ogólna uznania ziomków wywoła. Toż samo aczynie obiecały Towarzystwa Rolnicze Krakowskie i Lwowskie, a obiecuje Kijowski. Redakcja Gazety Rolniczej, słaba materialnymi zasobami, podejmuje również tę kwestyę i w czyn ją wprowadza, — niemając zarozumiałości aby tak ważny przedmiot potrafiła przeprowadzić, ufać jej niech przynajmniej wolno będzie, że szczerze zamierza niesienia pomocy tym którzy jej żądają, odpowiednio, ocenione zostaną, a wtedy zobaczymy, że i z małemi zasobami materialnymi, wiele zrobić można.

Niedajemy tu szczegółowego prospektu publikacji naszej — bo w rzeczy tak ważnej jak

wydawnictwo dzieł popularnych, wiele i wiele u nas zostaje do zrobienia — jak wywiązać się będziemy z zadania naszego, ogół osądzi. Dziś tylko możemy wymienić materiały, jakie już zgromadziliśmy do naszej **Biblioteki rolniczej**.

1. Zasady Leśnictwa dla obywateli ziemskich lasy posiadających, napisane przez Adama Mieczynskiego.
2. Rośliny pastewne, przez Zygmunta Gawareckiego.
3. O wściekłości zwierząt domowych, przez Józefa Gluzińskiego.
4. O uprawie chmielu, przez Zygmunta Gawareckiego.
5. Nauka o torfie, napisał Bode.
6. Zarząd domowy, popularnie wyłożony przez Leona Kąkolewskiego.
7. Katechizm pszczolarski, przez Józefa Znamierskiego.
8. Zasady hodowli owiec, przez Władysława Jankowskiego.
9. Gospodarz wiejski podług Webera.
10. Budownictwo wiejskie, przez Leona Kąkolewskiego.

Wszystkie te dzieła mamy już wykończone i gotowe do druku, o innych myślemy dopiero; wybraliśmy przedmioty pierwszej potrzeby rolnictwa, więc obiecywać nie będziemy; bo prawdę powiedziawszy, wydawnictwo to wtedy tylko doprowadzimy do skutku, gdy ogół gospodarzy oceni, że ono odpowiedniem jest potrzebie bieżącej i gdy przyjdzie liczną prenumeratą w pomoc tej publikacji. Zysków ciągnąć nie chcemy i oddajemy książki te po cenie papieru i druku.

Zeszytów 6cio arkuszywych, chcielibyśmy wydać 12 na rok. — cena jednego, pomimo wielu rycin w tekście, wynosi kop. 35. — Prenumeratorowie Gazety Rolniczej, tylko połowę tej ceny uiszczają.

Pierwsze trzy zeszyty **Biblioteki Rolniczej**, obejmujące w sobie pierwszą część popularnego wykładu **Zasad leśnictwa** dla obywateli ziemskich lasy posiadających, ozdobione kilkudziesięciu rycinami, już opuściły prasę drukarską i są do nabycia na wszystkich stacyach pocztowych Królestwa, oraz w cenniejszych księgarniach krajowych i zagranicznych za złp. 7 wszystkie razem. Jeżeli kto z prenumeratorów Gazety Rolniczej chciałby nabyć za **pół ceny**, to jest za złp. 3 gr. 15, to raczy **wprost do Redakcyi** na imię nasze nadesłać pieniądze — a natychmiast mu **kosztem własnym** wyeksponujemy **Bibliotekę rolniczą**.

Dodajemy, że Gazeta Rolnicza wychodzi raz na tydzień, w formacie arkusza podwójnego, że jest pismem najtańszem rolniczym w języku polskim wydawanem, ozdobianem rycinami. Cena jej roczna wraz z dodatkami bezpłatnymi w książkach i nasionach, wynosi rs. 4, czyli na kwartał rs. 1. Prenumerować można na wszystkich stacyach pocztowych w Królestwie i Cesarstwie.

Redaktor Gazety Rolniczej

Adam Mieczynski.

Członek Korrespondent Towarzystw Gospodarskich w Krakowie i Lwowie.

Dom handlowy

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz istniejącego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowej pod Nr 492, otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście (pod Nr 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych francuzkich, angielskich i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, Zegary stołowe i ściennie. Świeczniki, Wazon, Kandelabry. Lampy stojące i wiszące. Konsolki, Bronzy do franek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas

Spierruzgi. Portmonetki. Cygarniczki, Pugilaresy, Kapelusze jedwabne parzytki, Porcelany chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby bronzowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnej publiczności, wyżej wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi dobit Publiczność go zaszczycała.

W redakcyi **Tygodnika Ilustrowanego** znajduje się starożytny obraz sw. Franciszka, pędzla włoskiego, do sprzedania. Z sprzedaży tej właściciel przeznacza $\frac{1}{4}$ część na zakupienie i rozdanie książeczek pomiedzy lud wiejski dóbr Hrubieszowa i innych.

PATENTOWANA FABRYKA

FARB I LAKIERÓW

J. A. KRAUSSE

ulica Bonifraterska Nr 2163, wprost kościoła.

Skład główny

ulica Miodowa Nr 484, wprost Rządu Gubernialnego.

poleca wyroby swoje przy właściwej porze roku, a głównie:

PATENTOWANE LAKIERY

i

FARBY OLEJNE

tarte, prędko-schnące

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach,

wprost do użycia przyrządzone, tak, iż każdy najmniej obeznany z malowaniem, może je z łatwością używać, do przyodzabiania i ochrony od zniszczenia, wszelkich przedmiotów z drzewa lub metalu i t. p., na działanie powietrza wystawionych.

Farby te i lakiery, są bardzo pożądane na prowincyi, gdzie w dokładnem ich przyrządzeniu wielka trudność zachodzi.

Sprzedają się w wielu handlach i składach w Warszawie, oraz we wszystkich miastach na prowincyi.

W wszelkie obstałunki, tak fabryka jak i skład główny, przyjmuje i załatwia, ze znaną akuracnością, rzetelnością i pośpiechem.

Uwaga. — Fabryka poręcza za dobroć swoich wyrobów, które na pierwszy rzut oka łatwo można odróżnić od naśladowanych, przez zwrócenie uwagi na wydruk **Medalu**, (za dobroć wyrobów otrzymanego na Wystawie Krajowej), umieszczony na wszystkich etykietach.

LUDWIK A. SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościoła PP. Kanoniczek,

zaopatrzony został przy odpowiedniej porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

i

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniej obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególnież zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincyi, gdzie większa trudność w dokładnem przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdym naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 22 kwietnia (4 maja) 1861 r. — Cenzor, Roman Kozicki.

Redakcja przy ulicy Krakowskie Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr. 391.